AS



Nr. 38
19 WRZEŚNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

UROK MŁODOŚCI

LORETTA YOUNG



Misterna sieć pajęcza.

BABIE LATO



Pająk Dolomedes fimbriatus

Lato minęło. W całej przyrodzie zapanował jakiś dziwny spokój. Zwolna, po wielkim wysiłku w czasie lata przygotowuje się ona do zimowego spoczynku. Nadchodzi jesień. Złocą się liście brzóz, czerwienią buki, koralowym owocem obsypane stoją jarzębiny.

A w słoneczne, ciepłe dni września i października unoszą się w powietrzu delikatne, srebrzyste nitki, które muskają twarz przechodnia, oplatają jego szyję i ręce, lśniąc w blaskach złocistego słońca. Oplatają gałązki drzew, pokrywają łąki i pola, jak gdyby delikatną, misterną tkaniną, która mieni się blaskami tęczy i zda się być usiana brylantami, skoro pokryje je rosa i zalśni w blaskach słonecznych.

To „babie lato" szybuje w powietrzu, unoszone podmuchem jesiennego wiatru. Czemżesz są te delikatne nici srebrzyste i skąd się wzięły właśnie o tej porze?

Według jednej z licznych legend są to nici, które pochodzą z kołowrotka Najświętszej Panienki i rzucone zostały na ziemię, aby przypomnieć wieśniaczkom, że nadszedł już czas przygotowania przędziwa i odzieży dla biednych opuszczonych sierot.

Inne podanie mówi, że „babie lato" to porwana na strzępy tkanina, którą wiatr roznosi w postaci delikatnych nitek na wszystkie strony. Tkaninę tę sporządziła pewna dziewczyna, która w modlitwach swych uprosiła Najświętszą Matkę, aby koszula uszyta przez nią z tego przędziwa miała cudowną moc ochrony przed śmiercią tego, który ją będzie nosił. Chciała ona w ten sposób zachować życie swego jedynego, ukochanego brata, który wyruszał na wojnę. W międzyczasie jednak poznała ona młodzieńca, któremu oddała swe serce. Jemu, zamiast bratu, ofiarowała cudowną koszulę. Gdy przyszło do pojedynku między bratem dziewczyny a jej ukochanym, który nie okazał się godnym jej miłości, brat padł, przeciwnik zaś wyszedł cało, zawdzięczając swe życie owej koszuli, sporządzonej z tkaniny o przedziwnej mocy. Od chwili tej jednak nieszczęśliwa owa dziewczyna siedzi przy kądzieli i przędzie, a przędziwo jej rozrywa wiatr i daleko unosi swoim podmuchem.

Tak mówi legenda.

W rzeczywistości jednak srebrzyste nici „babskiego lata" są wytworem małych żyjątek z rodziny pająków, zwanych boczeniami. Bliskimi ich krewniakami są: pająk krzyżak i pająk domowy, znane z niezwykłych zdolności tkackich i misternych tkanin, zwanych pajęczynami. Pająki nie cieszą się naogół sympatją człowieka. Niejeden na ich widok odwraca się ze wstrętem lub zabobonną obawą. Wierzą niektórzy, że pająk spostrzeżony rankiem, przyniesie nieszczęście, widziany zaś o wieczornej porze wróży pomyślność. Kto jednak przypatrzył się ich sieciom tak misternie zbudowanym, ten mimo nieprzyjaznego do nich stosunku nie może pozostać bez podziwu dla ich artyzmu i kunsztu tkackiego. Może dziwaczna nieco postać pająka i jego niecodzienny wygląd, a także i specjalna zdolność wydzielania z ciała delikatnego przędziwa sprawiły, że tak on, jak i wytwór jego ciała — nić pajęcza, znalazły się w legendzie.

Pająki na końcu swojego ciała, zwanego odwłokiem, posiadają brodawki przędne, czyli tak zwane kądziołki w ilości 2—8, zależnie od gatunku pająka, które mają wygląd jak gdyby ściętych stożków, zaopatrzonych na samym wierzchołku wieloma otworkami, nieraz nawet i w liczbie kilkuset, będącemi zakończeniami rureczek, tak, że ta część końcowa zbudowana jest nakształt sitka. Przez otworki te wypływa przeźroczysta wydzielina, która zastygając na powietrzu daje nić pajęczą. Nić taka nie jest pojedyncza, chociaż nam się taką wydaje. Jest to już jak gdyby lina, utworzona z całego szeregu drobniejszych sznurków. Trudno jest nam nawet wyobrazić sobie, jak cieniutką jest naprawdę pojedyncza niteczka, która wchodzi w skład gotowej już nici pajęczej, takiej, jaką widzimy, jeżeli ta nitka złożona z licznych drobniutkich niteczek składowych jest sto razy cieńsza od włosa ludzkiego. Mimo to jednak nitki pajęcze są mocne i elastyczne i wiatr nie tak łatwo je rozrywa. Moc ich zależy od tego, z jak wielu rureczek pająk ciecz wypuszcza. Pojedyncza nitka pajęcza ma grubość zaledwie 0,0004 mm, na powietrzu tężeje ona dość szybko i łączy się z niteczkami wychodzącemi z sąsiednich rureczek w nitkę o grubości 0.005 mm. Pojedyncze niteczki w całość łączy pająk przy pomocy grzebykowatych pazurków, stanowiących zakończenie nogi. Grubość nitki, a także jej jakość zależy od pająka, który może je dowolnie regulować. Nie wszystkie bowiem gruczołki wydzielają jednakową pajęczynę. Jedne rureczki wydzielają nić suchą, drugie lepką, inna jest nić użyta na kokon, a inna na sieć służącą do chwytania zdobyczy.

Jeżeli będziemy obserwować sieci pajęcze, zwane w potocznym języku pajęczynami, możemy się przekonać, że posiadają one różny wygląd i budowę, zależnie od tego, przez jakiego pająka są budowane. Poza tem miejsce ich występowania i przeznaczenie, do którego służą, u różnych pająków bywa różne. Jedne z pająków np. pająk domowy, zakładają swe płachtowate, nieregularne pajęczyny, w których budujące je nitki przebiegają w najrozmaitszych kierunkach, przeważnie w domach, na strychach, w szopach, w starych zamieszkałych budowlach, snując je w narożach. Sieci krzyżaka możemy oglądać w ogrodach, pomiędzy krzewami i drzewami, na płotach i między słupami, przyczem podziwiać musimy nadzwyczajną regularność i symetrję w budowie jego pajęczyny. Przeważnie sieci pajęcze służą pająkom za wygodną kryjówkę, dającą schronienie, zarazem jednak stanowią zasadzkę, w której pająk czatuje na zdobycz. Jeżeli niebaczna ofiara zaplącze się w delikatną tkaninę, wydostać się z niej przeważnie nie może, lecz staje się łupem pająka, który najpierw zabija ją jadem, a następnie pożera. Samice pająków z przędziwa budują kokony, czyli oprzędy, w których składają jajeczka i zabezpieczają je w ten sposób przed wrogiem i innemi niebezpieczeństwami, jak zimnem i wilgocią. Jedyny nasz wodny pająk, topik, buduje z pajęczyny ciekawe podwodne mieszkanie, wypełnione powietrzem atmosferycznem, którem oddycha; jeszcze inne pająki przędą pojedyncze nici, które służą im za środek komunikacyjny.

Pająkiem, który snuje srebrzystą przędzę „babiego lata" jest jeden z boczeni, t. zw. namiastek wędrowny. Kiedy nadejdzie jesień, niezliczone roje tych niewielkich, szarych i brunatnych małych pajączków o spłaszczonem ciele, wylęgłych w lecie lub na początku jesieni, szukają krzaków, wyniosłych słupów telegraficznych lub też siadają na gałązkach czy płotach. Unoszą wtedy odwłok ku górze, w kierunku wiejącego wiatru i zaczynają snuć bez przerwy nić tak delikatną, że ledwie dostrzegalną. Widoczną staje się ona wtedy, gdy zalśni srebrem w słońcu. Grubość i długość takiej nitki zależna jest od siły wiatru. Podczas gdy wiatr podrzuca pająkiem, składa on i rozkłada swe odnóża, wyciąga je w kierunku wiatru, przyczem musi wykonać pewien wysiłek, opierając się prądowi powietrza. W korzystnym dla siebie momencie zaczepioną nić o jakąś podporę odcina pająk szczękami, jednocześnie podnosi ośm swoich nóg i unosi się na nici w górę, jak gdyby na powłóczystym welonie. Wzlot zależy od samego pająka, może go pająk w danej chwili podjąć lub też zaniechać. W ten sposób z podmuchem wiatru wędrują niezliczone ilości pająków wiele, wiele kilometrów dalej od swej pierwotnej siedziby. A kiedy znajdą się już u kresu swej napowietrznej podróży, wspinają się szybko po rozpostartej nitce i zwijają ją w płatek, na którym jak gdyby na spadochronie opuszczają się na ziemię. A niepotrzebne już pajęczyny, pojedyncze nici babiego lata, ten środek ich lokomocji, wiatr rozsiewa po świecie na wszystkie strony.

Wędrówki swoje podejmują pająki tylko w piękne, słoneczne dnie. Wędrówki tych pająków związane są ze słońcem. Słońce bowiem nagrzewa ziemię, od niej zaś ogrzewa się powietrze, które jako lżejsze unosi się w górę, na jego zaś miejsce napływa powietrze zimniejsze. W ten sposób wytwarzają się pionowe prądy powietrza, które unoszą „statek" powietrzny pająka w górę, a podmuch wiatru przesuwa je znowu w kierunku poziomym, unosząc na dalekie niekiedy przestrzenie. Niejednokrotnie pająki takie lądują o kilkadziesiąt kilometrów dalej od miejsca swego startu.

Babie lato to pożegnanie lata, to srebrzysty uśmiech jesieni, a zapowiedź zbliżającej się zimy.

Dr Z. M

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 38 | **Niedziela, 19 września 1937** | **Rok III**

ASY NUMERU 38-GO:





„Sprawozdania są suche i niechętnie czytane. We właściwym czasie zamieszczona wzmianka, poparta zdjęciem z życia lotniczego, najlepiej przypomni obywatelowi jego obowiązek wobec spraw obrony Państwa. — L. O. P. P., pracująca dla rozwoju lotnictwa i przygotowania obrony, wdzięczna jest wydawnictwu „AS" za poświęcanie swych szpalt sprawom tak blisko obchodzącym półtoramilionową rzeszę członków Ligi".

Inż. Leon Berbecki
gen. dyw.

(Inż. Leon Berbecki, gen. dyw.).



BAJKA NA SKRZYDŁACH

Moja malutka córeczka nagle przystaje na plantach albo zrywa się w wózeczku na ulicy albo w pokoju odbiega od zabawy i pędzi do okna. Podnosi główkę do góry i woła radośnie:

— Oplan! oplan!

Tam, na tle błękitnego nieba, nawlekając chmury płynie warkotem aeroplan. Czasem ledwie widoczny, czasem płynie niżej, twarde skrzydła rozpościerając nad kamiennemi kotlinami miasta, nad zielonym kręgiem plant. Mąci ciszę kołysanki, śpiewanej dla lalki, wyrywa dziecko z zamyślenia, każe patrzeć na siebie, póki nie zniknie za wąwozem kamienic, za zielenią drzew, za wykrojem okna.

— Oplan! oplan!

Tak woła moja malutka córeczka.

Wie, że to nie jest ptak. Ale jeszcze nie zapytała mnie:

— Co to jeś, tatuniu?

Co to jest — zapytuje tak sto razy dziennie. Ale może wyczuwa, że ja nie chcę, by mnie o to zapytała. A może wystarcza jej narazie, że „oplan" to jest „oplan". I już.

Nie chcę, by mnie o to zapytała — jak nie chcę i boję się chwili, gdy zapyta mnie o tyle rzeczy i spraw, łączących się nieraz wprawdzie z wielkiem zwycięstwem człowieka, ale równocześnie z wielką jego klęską. Zna tyle ptaków i wie z książki obrazkowej, że ten ptak to jest sęp — ale nie wie jeszcze, że sęp żyje z koniecznego dla swego życia rabunku i morderstwa, popełnianego na słabszych. A gdy się dowie, że „oplan"...

Tak. Narazie — zachwyt dla jej szeroko otwartych czarnych oczek. Bo to płynie ponad nią i warczy. To wystarcza dla zachwytu. Płynie i znika. Niema go nieraz kilka dni i wraca znów. Nagle, niezapowiedziany powraca, płynie i warczy...

Taki jest „oplan" mej córeczki. Lecz jakże jej powiem, gdy zapyta mi się:

— Co to jeś, tatuniu?

Czy będę jej mógł tylko powiedzieć o pięknie i cudzie aeroplanu, a nie wspomnieć jeszcze o tem, że jest to broń człowieka przeciw człowiekowi — jedna z najpotworniejszych? Jak powiedzieć, patrząc wraz z zachwytem czarnych oczek maleństwa, że te skrzydła, niosące teraz na sobie tylko odblask promieni słonecznych, ponieść kiedyś mogą cień śmierci i dla siebie i dla innych — najczęściej niewinnych?

Codziennie w dziennikach czytamy, jakie krwawe bohaterstwa ma na swem skrzydlatem sumieniu lotnictwo tego czy innego państwa. Bohaterstwa — bezwzględnie, ale jakże straszne... W Hiszpanji, w Chinach... Lecą lotnicze bomby na miasta i wsie, na domy i świątynie, na skarby sztuki i życia.

A przecież jest to zarazem uskrzydlona tęsknota człowieka. A przecież jedna z najstarszych legend ludzkości już miała skrzydła, które rozbiły się tylko o słońce. Ikar padł zwyciężony słońcem Hellady, ale nie zabijał i nie został zabity.

Wyrazem wszystkich epok były skrzydła. By oderwać się od ziemi, jak we śnie. By otrząsnąć pył i kurz normalnej drogi i unieść się tam, gdzie ulata tylko marzenie...

Wieki szły z tą legendą u skroni. Czarownice jeździły na kogutach i na miotłach — święci i poeci latali na skrzydłach. I ta jednaka wszystkim ludom tęsknota za w górę wzlotem stworzyła jedną z baśni z tysiąca i jednej nocy — dywan latający i stworzyła baśń skandynawską o łabędziu-rumaku i legendę podkrakowską o mnichu latającym w Czorsztynie czy Wiśniczu. W tysiącu klechd i baśni tasama przebija chęć: latać!

Aż przyszedł wielki wiek XIX i ludzie za-

Powyżej: Prototyp moto-szybowca „Bąk" w locie.

Poniżej:

P. Marja Junga, pionierka naszego szybownictwa — zdjęcie z zawodów w Ustjanowej.





Start na bramkę podczas Challenge'u 1934.



Na lewo: Dla zmniejszenia oporu ustawia się szybowiec przy starcie w specjalnem drewnianem łożysku...

częli latać. Na hekatombach ofiar-pionierów lotnictwa wyrosły zwycięskie szeregi.

— Oplan! — woła w zachwycie moja córeczka — a ja ileż mógłbym jej opowiedzieć najprzecudniejszych bajek prawdziwych i wspaniałych o bohaterach lotów nad górami i oceanami, o zwycięzcach dla chluby i chwały swego narodu — iluż polskich wśród nich! — o zdobywcach szlaków powietrznych dla dobra ludzkości, o tych, którzy dzięki skrzydłom samolotu zostali wyrwani z objęć niechybnej śmierci podczas powodzi czy innego kataklizmu, uratowani od śmierci głodowej czy epidemji...



Powyżej: Kadłub rasowego szybowca.

Mało zostanie z czystej poezji o skrzydlatym człowieku, gdy spojrzy się na nią oczyma corocznego Tygodnia Lotniczego. Trudno. Muszą mówić tu prawdy oczywiste, prawdy konieczności przygotowania, obrony, życia.

Wszystkie państwa kładą od lat na siły lotnicze nacisk największy. W wojnach lat ostatnich lotnictwo odgrywa rolę decydującą. I my musimy być silni — nie poto, by innym śmierć zadawać, lecz poto, by przed innymi życia swego, gdy tak przyjdzie, bronić. Dlatego szeregi skrzydlate ludzi i maszyn winny rosnąć w Polsce coraz większe i zasobniejsze i każdy samolot, lecący nad miastem winien być wyrazem tej siły, która się oprze i nie da.

Nie wolno nam patrzeć oczyma dziecka, choć... szkoda...

Moja malutka, gdy będziesz troszkę starsza, opowiem ci bajkę o rycerzu, który — pierwszy z Polaków i jeden z pierwszych na świecie — chciał pokonać wielki, burzliwy, bezkresny ocean. Opowiem ci, jak wyfrunął wysoko i jak nisko spadł na skały wysepki. Pożar zwycięstwa płonął w jego sercu i zgasł wtedy, gdy pożar motoru ogarnął jego stopy i zwęglił jego ciało. Opowiem ci bajkę o innym rycerzu, który latał nad Europą pierwszy na czele niemogących doścignąć go maszyn wszystkich narodowości i który Polsce skrzydlatej przypiął u czoła laur wielkiego zwycięstwa, a potem zmiótł go wichr nagłej burzy i padł jak piorun śmierci w ściętych złamanemi skrzydłami sosnach. Opowiem ci o jeszcze innym, który zwyciężył ocean w wątłej awjonetce i o jeszcze innym, którego pokonała sybirska przestrzeń... Tyle przepięknych bajek, w których bohaterem będzie zawsze „oplan"...

A kiedyś dowiesz się także o innem, o krwawem bohaterstwie tych skrzydeł — gdy dowiesz się o srogiej i tragicznej prawdzie życia.

Dokończenie na str. 31-ej



Na lewo: Na polach Ustjanowej.

Poniżej: R. W. D. - 13 w locie.

Ale czy mogę przemilczeć o tem drugiem? O tem, że ten spełniony sen tysięcy pokoleń został wykorzystany przez człowieka w wojnie jako broń bezwzględna, ślepa...

Wolę jeszcze nie myśleć o tem, póki aeroplan jest tylko „oplanem".

A przecież nie tylko oczy dziecka śledzą szybujące skrzydlate aparaty — śledzą za niemi także oczy dorosłych. Dowiadujemy się z radością, że polska siła skrzydlata rośnie, że jest już tyle... że znów więcej... Dowiadujemy się z entuzjazmem, gdy Idzikowski, gdy Orliński, gdy Skarżyński, gdy Żwirko i Wigura, gdy Bajan, czy tylu jeszcze innych Polaków zwycięża na oczach świata dla glorji barw amarantowo-białych i płaczemy jak za kimś najbliższym, gdy cień śmierci padnie u stóp zwycięzcy. Cieszymy się, że nasze linje lotnicze obejmują coraz większe obszary nietylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami, radujemy się z wszystkich sportowych i turystycznych wyczynów naszych amatorów-pilotów, z uwagą śledzimy rozrost piękny instytucji, której treścią i celem jest propaganda lotnictwa w Polsce i zasilanie skrzydlatych szeregów armji — L. O. P. P.



Bo tak już jest, że mając przed oczyma rzecz piękną i wspaniałą, zapomina się o tem, że często ma ona i odwrotną stronę medalu...

Zachłystywałem się już ileż razy i mokrym pędem motorówki po bełcie wodnym i unoszącym pędem auta po wstędze szosy — ale niema pełniejszego zachłyśnięcia się czarem pędu i przestrzeni, jak gdy się siedzi w wąskiej piersi awjonetki. Nie często, obserwując bieg życia dzisiejszego, można cieszyć się, że żyje się właśnie teraz, właśnie w tej burzliwej, poszarpanej epoce, mającej zęby wyostrzone a ręce tylko w pięści zaciśnięte. Ale unosząc się nad ziemią pędem ku słońcu, ku chmurom, naprzekór wichrom, naprzekór wszelkiej możebności — odczuwa się właśnie dosyt szczęścia, że właśnie tej epoce, w której żyjemy, dano się uskrzydlić zwycięsko. My uskuteczniliśmy sen wieków...

W kole: Skok z dwoma rozwiniętemi spadochronami.





Stalowe ptaki złożywszy skrzydła, odpoczywają po uciążliwym rajdzie...

WANDA KIESZKOWSKA

PRZYGODY

imć panów Szczeniowskiego i Szaszkiewicza

W bogatej galerji dziwaków i oryginałów, od których roją się pożółkłe karty dawnych pamiętników, specjalne miejsce zajmują tak zwani „kawalarze", jakbyśmy dziś powiedzieli. Dziadowie nasi posiadali wysoce rozwinięte poczucie humoru, połączone z rubasznym i dobrodusznym naogół usposobieniem. Płatali więc sobie nawzajem różne „figle i psoty", tak ostre nieraz i daleko posunięte, że niejeden z nich zostałby dziś zapewne za taki „żart" pociągnięty do odpowiedzialności. Wówczas jednak nie przychodziło nikomu do głowy obrażać się, ani gniewać o nie. Z pośród całej falangi mniejszych i większych żartownisiów i mistyfikatorów, znanych na ziemiach polskich w początkach XIX stulecia, wyróżniają się dwaj kresowiacy, ludzie godni, poważani i możni, a to pan prezes Szczeniowski i Gracjan Szaszkiewicz.

Onufry Szczeniowski, osobistość znana i kochana w Winnicy [1] i na całej Ukrainie miał humor szczerze polski, jowialny, krotochwilny, tem milszy, że pozbawiony wszelkiej złośliwej intencji. Lubił poprostu śmiać się wiele i głośno, bo inaczej nie czuł się nigdy dobrze, więc też starał się skwapliwie o nowe wciąż powody do śmiechu.

Pewnego roku zawisła nad Winnicą groza trzęsienia ziemi. Wieść przyniesiona niewiadomo skąd, oparta niewiadomo na czem. W gimnazjum winnickiem ruch. Poważni profesorowie pospuszczali głowy, trzęsąc w przerażeniu łysemi głowami. Pan Onufry Szczeniowski, nie przejmując się powszechną paniką, sprosił całe ciało pedagogiczne do siebie na obiad... Przyjęcie było dobre, wystawne, wino mocne, wytrawne. Naraz przy końcu już obiadu, gdy błogi spokój i rozmarzenie jęły ogarniać biesiadników, rozległ się głuchy, dudniący huk. Po nim ozwał się cały szereg innych, coraz głośniejszych, bardziej grzmiących. Trzęsienie ziemi!! Pobladli profesorowie porwali się od stołu i rozbiegłszy się w popłochu w różne strony, wypadli przed ganek właśnie w chwili, gdy ostatnia beczka napełniona gruzem toczyła się po dachu z okrutnym hałasem, spadając na ziemię tuż przed zastygłemi w bezruchu ze wstydu i zdumienia postaciami.

Ale prawdziwą ofiarą wszystkich żartów prezesa, które znosił zresztą zawsze z dobroduszną miną i niezmąconą pogodą, był doktor Banki. Było to niemczysko małe, pulchne, kłębuszkowate, a nawskróś poczciwe. Prezesowi nie smakował żaden najlepszy obiad, jeżeli nie było na nim Bankiego. Ale też wyrabiał z nim wszystko, co mu się tylko podobało: to kazał mu wymawiać raz po raz, niezmiernie trudne dla cudzoziemców zdanie, „chrząszcz brzmi w trzcinie", ciesząc się jak dziecko z każdej omyłki, to znów namówił go kiedyś, by odprawił swe konie, obiecując odwieźć własnemi, a gdy dobroduszny doktor, nie podejrzewający żadnego podstępu, uczynił to chętnie, wsadził go do kabrjoletu, w którym woźnica, foryś i lokaje byli poprzebierani za djabłów i kazał go wieźć pędem przez całe miasto, wśród szalonego wrzasku żydów, krzyczących, że Bankiego djabli niosą: a wreszcie, nie mogąc go zatrzymać u siebie na noc, mimo gróźb i przestróg, że jeśli powróci do domu, spotka go wielkie nieszczęście, zawiesił w nocy u drzwi wejściowych, wiodących do mieszkania doktora, kukłę wypchaną, podobną jak dwie krople wody do niego, przybraną w jego frak i kapelusz, wzbudzając zrana niebywałą sensację w mieście, że Banki, znany doktor powiesił się.

Innego rodzaju typ „kawalarza". stanowi Gracjan Szaszkiewicz. Dowcip jego był bardziej cięty, ostry, ale też i bardziej oryginalny, głębszy, łącząc w sobie obok humoru i pierwiastek pouczający zarazem. — Przytoczę tu parę jego żartów.

Gdzieś na rozstajnych drogach pól ukraińskich wznosiła się duża, murowana karczma, trzymana w arendzie przez żyda, znanego ze swych bogactw, pychy i twardego serca dla biednych. Pewnego razu, gdy napuszony arendarz, przybrany w czarny, atłasowy chałat, chodził po izbie, wsadziwszy ręce za pas, nucąc coś niedbale pod nosem, drzwi uchyliły się zlekka i do karczmy wsunął się nieśmiało wysoki, nieco przygarbiony człowiek w średnim wieku, w płaszczu lokajskim na ramionach. Żyd obrzucił go taksującym wzrokiem. Jednym rzutem oka ogarnął wyszarzany płaszcz, strapioną minę i niepewne, nieśmiałe obejście, cechujące ludzi w potrzebie. Wiedział już z kim miał do czynienia. Lekceważąco począł się dopytywać o powód strapienia, dowiedziawszy się zaś, że była nim utrata posady, nabrał jeszcze większej pewności siebie i z jawnem już szyderstwem, począł się go pytać, czy nie jest głodny i czyby czego nie zjadł. Człowiek w lokajskim płaszczu odpowiedział spokojnie, pokornie, prosząc, co łaska. — Wówczas rozpoczęła się dziwna scena. Żyd z widocznem naigrawaniem się, nie przestając ani na chwilę nucić, począł mu proponować suty obiad, składający się z barszczu tłustego, zabielanego, sztuki mięsa, indyka pieczonego, kury, kuropatwy, legominy, wina i kawy, a kiedy po każdej wymienionej potrawie następowała cicha, pokorna odpowiedź: „Proszę, panie arendarzu", zacierał mocniej ręce, wołając z ironją: „A kiedy niema właśnie", poczem podejmował spokojnie dalszy ciąg wyliczenia. Lecz oto nagle rozwarły się drzwi z trzaskiem i na progu stanął kozak, który na widok przygarbionego człowieka w wyszarzanym płaszczu zrzucił szybko czapkę z głowy, oznajmiając, że powóz naprawiony czeka. Pan Szaszkiewicz, on to był bowiem, podniósł się, wyprostował na całą wysokość, strząsnął lokajski płaszcz z ramion i ukazał się oczom zdumionego arendarza w dostatnim, pańskim stroju. Zwróciwszy się do kozaka, rozkazał mu przynieść kredę i jął pisać na stole rachunek za obiad, którym poczęstował go gościnnie, jak mówił, szczodry arendarz, nie zważając na krzyki protestu i żalu zaskoczonego, oniemiałego karczmarza. Pierwszy to chyba i ostatni wypadek, by żyd nie ucieszył się niespodziewanym zarobkiem i protestował przeciwko zbyt wygórowanym, jak się wyrażał, cenom. A gdy rachunek był gotów, rozkazał pan Szaszkiewicz rozciągnąć hardego żyda na podłodze i mimo wrzasku żydowicy i bachorów odliczyć mu odpowiednią ilość nahajek.



...wyskoczył z powozu wpadając po pas w błoto...

A oto drugi „żart". Działo się to w 1812 roku, podczas wojny francusko-rosyjskiej. W tym czasie żył wielki patrjota polski doktor Chilchin, nie kryjący się ze swem wrogiem nastawieniem do rządu rosyjskiego. Darmo Szaszkiewicz powstrzymywał przyjaciela, prosząc, by się nie narażał, tłumacząc, że wojując językiem, nie przyniesie ojczyźnie żadnego pożytku, a na siebie dobrowolnie ściągnie nieszczęście. — Chilchin był nieustraszony: kibitka, Sybir, kazamaty i inne najstraszliwsze kary nie miały przystępu do jego dzielnego serca. Im bardziej Szaszkiewicz przestrzegał, tem głośniej krzyczał i pomstował na Moskali Chilchin. Aż wreszcie dokonało się, co się dokonać miało. — Pewnego razu kilkunastu kozaków wpadło do dworu Chilchina. Bez słowa porwali go od wieczerzy, wsadzili do czekającej przed domem kibitki, zawiązali oczy i pomknęli pędem wiatru przed siebie. Chilchin uczuł się zgubiony. Gnali tak bez opamiętania całą noc i cały dzień, zatrzymując się tylko poto, by zmienić zmęczone konie na świeże. Im dłużej rozmyślał Chilchin nad swem nieszczęsnem położeniem, tem więcej zdawało mu się ono beznadziejne. Po dwudziestu czterech godzinach oszałamiającej jazdy, zatrzymali się wreszcie na dłuższy postój. Kozacy wrzucili więźnia do pustego spichrza, zaciągnęli ostrą wartę pode drzwiami. Wtedy właśnie nadszedł nieoczekiwany ratunek. Pogrążony w ponurej zadumie doktor usłyszał nagle cichy szept:

„Chilchin".

„Szaszkiewicz, ach, ratuj, przyjacielu!".

Właśnie poto przybyłem... Przyjaciel niezawodny, dowiedziawszy się o dokonanem porwaniu, pędził jego śladami całą dobę, by przyjść mu z pomocą. Teraz dopiero udało mu się go dognać wreszcie... Nie tracił czasu napróżno... Straż spoił, by nie przeszkadzała, reszta należała już do Chilchina. Przez szparę w ścianie wsunął Szaszkiewicz rydel, polecając przyjacielowi, by się podkopał pod ścianami spichrza jak najszybciej i najciszej. Noc całą kopał Chilchin w trwodze śmiertelnej, okryty krwawym potem, a kiedy o świcie, drżąc z niepewności, strachu i wyczerpania, wylazł wreszcie przez podkop, ujrzał się pośrodku własnego podwórza, naprzeciwko starego lamusa, ujrzał swój dom, iskrzący się w promieniach wschodzącego słońca i nigdy kąt ten nie wydał mu się droższy, piękniejszy, bardziej

[1]) Miasto powiatowe na Podolu.

...że Banki znany doktór powiesil się...



swój, jak w tej chwili, kiedy myślał, że go postradał na zawsze...

Taka była „przyjacielska przestroga“ pana Szaszkiewicza, który przebrawszy swych ludzi za strażników moskiewskich, polecił im „dla nauczki“ porwać przyjaciela i powoziwszy go trochę okrężnemi drogami, przywieźć z powrotem do domu. A jeśli się chce wierzyć zapewnieniom pamiętnikarza, nauczka okazała się bardzo skuteczna...

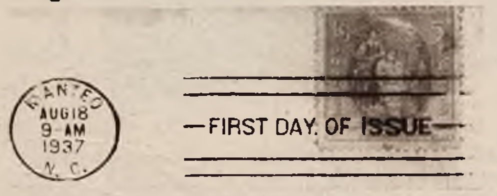
Trzeci i ostatni figiel, jaki tu opowiem, ma już zupełnie odmienny charakter od poprzednich. Zdarzyło się oto razu jednego, że pan Szaszkiewicz, człowiek możny i bogaty, nie zapłacił podatków na czas. Nie mógł, nie chciał, nie zapłacił i kwita. Szły wezwania za wezwaniami, a on nie płacił i już. Wreszcie, nie widząc innego wyjścia, wybrał się do niego „pan isprawnik“ [1]) we własnej osobie, żądając zapłacenia zaległości. — Szaszkiewicz przyjął go uprzejmie, tłumaczył się nawet, prosił jednak o jednodniową chociażby zwłokę, motywując to potrzebą udania się do miasta, celem dokonania sprzedaży, umożliwiającej mu zapłacenie podatku. Isprawnik uznał słuszność tego żądania, oznajmił wszakże, że pojedzie z nim razem, by odrazu odebrać należność. Nie było sposobu pozbycia się go. Chcąc nie chcąc rozkazał Szaszkiewicz zajechać koniom i z chmurną miną wsiadł do powozu, wskazując isprawnikowi miejsce obok siebie. Czas był zimny, słotny, niebo pokryte ciemnemi chmurami. Płaty czarnej, żyznej ziemi ukraińskiej nabrzmiały deszczem, drogi stały rozmokłe, śliskie, pełne głębokich kałuż i bajor. Szaszkiewicz siedział w kącie, jak się rzekło, milczący i posępny. Co chwila krzywił się, sykał niecierpliwie, kręcił się niespokojnie, a chrząkał i kaszlał. Zdziwiony takiem zachowaniem isprawnik, który znał go jako człowieka niezwykle wesołego i rozmownego, zerknął na niego ukradkiem raz i drugi, poczem zapytał nieśmiało, czy mu co nie dolega. Z pewnem ociąganiem i widoczną niechęcią wyznał wówczas Szaszkiewicz, że oto przed dziewięcioma miesiącami został pokąsany przez wściekłego psa, że narazie myślał, że mu to przejdzie bez śladu, lecz dziś właśnie, gdy mija krytyczny termin, c z u j e jakieś dreszcze i dziwny niepokój. Usłyszawszy to isprawnik sam z. kolei uczuł się nieswojo i jął się kręcić niespokojnie. Nie miał już wszakże czasu do dłuższego namysłu, bo oto nagle, gdy wjechali w sam środek największej k a ł u ż y, Szaszkiewicz zwrócił się do niego, wyszczerzył zęby i warknął przeraźliwie. Przerażony isprawnik cofnął się wtył i bez wahania wyskoczył z powozu, wpadając po pas w błoto, zaś pan Szaszkiewicz, rad ze sposobu, w jaki się pozbył natrętnego urzędnika, rozkazał stangretowi zawrócić i zamiast do miasta, pojechał spokojnie do siebie.

A choć żart pana Szaszkiewicza pociągnął za sobą z n i e w a g ę przedstawiciela władzy rosyjskiej w osobie pana isprawnika, to jednak sprawa ta nie miała żadnych przykrych następstw...

Rosja umiała spoglądać czasem przez palce na wybryki humoru szlacheckiego...

[1]) Naczelnik powiatowy.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Wycinek z koperty, wysłanej w pierwszy dzień wydania znaczka ku uczczeniu rocznicy urodzin Wirginji Dare.

Bloki polskie już zostały wysprzedane i zapewne nakład nie przekroczył oznaczonej oddawna ilości 100 tysięcy egzemplarzy. Ciekawem jest, jaką cenę zanotują katalogi. Jak mowią złośliwi, zależeć to będzie od zapasu, który dana firma potrafiła nagromadzić. Jeśli zapas ten będzie duży — cena wyniesie z miejsca od 40 do 60 m. Jak dotychczas, w Polsce nie nastąpiła tak raptowna zwyżka, jak np. przy emisji bloków w Gdańsku, Paryżu i Luxemburgu w ostatnich czasach.

W Rochefort, rodzinnem mieście słynnego powieściopisarza francuskiego Piotra Loti, postanowiono wznieść jego pomnik. Wobec braku funduszow zwrócono się z prośbą do ministra „P. T. T.“ o wydanie znaczka z dopłatą na ów cel. Reprodukujemy dzisiaj ten nowy, piękny, karminowy znaczek, na którym widzimy Loti'ego na tle minaretów Konstantynopola. Jak wiadomo, Loti był jednym z pierwszych, który wprowadził motywy orjentalne do nowoczesnej literatury. Nakład znaczka musi zapewne być bardzo wysoki, gdyż inaczej minimalna dopłata po 20 c (4 gr) nie zaspokoiłaby potrzeb komitetu.

Nieznane są nam bliżej szczegóły, odnoszące się do nowej serji łotewskiej. Należałoby wnosić, że została ona wydana, na pamiątkę czynów orężnych w czasie walk o niepodległość Łotwy. Całość nie wywołuje zachwytu. Format: 3, 5, 10, 20, 30 s. 31×43 mm, wykonanie heliograwurą, 35 i 40 s. miedzioryt, 32×45 mm. Barwy 3 s. pomarańczowa, 5 s. zielona, 10 s. nieb.-zielona, 20 s. czerwona, 30 s. niebieska, 35 s. granatowa, 40 s. brązowa.

Wygląd nalepek mają 2 znaczki (?) Jugosławji z napisem „Za Chram Św. Sawy“, a ponieważ nie noszą one nawet nazwy państwa, wstrzymujemy się z ich reprodukcją.

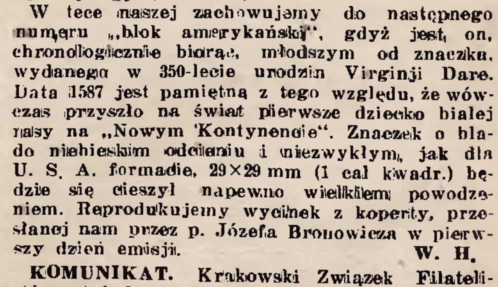
Ze zbioru p. St. Kadłuczki zamieszczamy „najnowszą nowość“ czeską. Serja obejmuje, jak zwykle, dwie sztuki: za 50 h. i 1 Kc. Margines arkusza jest właściwie ładną winietą i nie ulega wątpliwości, że znaczki t. zw. zewnętrzne będą miały większą wartość. Widzimy na nich Jana Purkynje, uczonego i odkrywcę z dziedziny fizjologji (1787—1869).

W tece naszej zachowujemy do następnego numeru „blok amerykański“, gdyż jest, on, chronologicznie biorąc, młodszym od znaczka, wydanego w 350-lecie urodzin Virginji Dare. Data 1587 jest pamiętną z tego względu, że wówczas przyszło na świat pierwsze dziecko białej rasy na „Nowym Kontynencie“. Znaczek o blado niebieskim odcieniu i niezwykłym, jak dla U. S. A. formacie, 29×29 mm (1 cal kwadr.) będzie się cieszył napewno wielkiem powodzeniem. Reprodukujemy wycinek z koperty, przesłanej nam przez p. Józefa Bronowicza w pierwszy dzień emisji.

W. H.

KOMUNIKAT. Krakowski Związek Filatelistów zawiadamia, że zebrania odbywać się będą w tym sezonie w każdy czwartek od 19—22 g. w lokalu „Szarotka“, Plac WW. Świętych.

LICYTACJE. Dorotheum, Wien I. Dorotheergasse 11. Aukcje w każdy wtorek i piątek.



Znaczek czeski, który ukazał się w 150-tą rocznicę urodzin uczonego Jana Purkynje, oraz francuski znaczek dobroczynny, wydany na cel budowy pomnika Piotra Loti.

Wojciech Wojtecki

— Kochany panie Wojciechu — zagadnąłem p. Wojteckiego, znanego artystę dramatycznego, pierwszego amanta Teatru Malickiej w Warszawie — pozwalam sobie umieścić dzisiaj pana na cenzurowanem!

— Co takiego? Zabawa w cenzurowanego?

— Tak jest. W naszej groźnej rubryce „cenzurowanego“ w „Asie“. A zatem, jak każą reguły tej gry salonowej, zapytuję pana, czem chciałby pan być?

— Czem chciałbym być — odpowiada Wojciech Wojtecki — trudno byłoby powiedzieć. Ludzkie marzenia są tak nieobliczalne.... Może więc raczej powiem panu czem nie chciałbym być.

— Doskonale. A więc?

— Nie chciałbym być, powiedzmy, budką suflerską.

— O! A to dlaczego?

— Jest pan stałym gościem Teatru Malickiej — mówi do mnie artysta — a więc wie pan o tem, iż teatr nasz gra zupełnie bez suflera. Romantyczna budka suflerska stała się już przeżytkiem teatralnym; rozumie pan teraz, iż jako człowiek młody i — zaryzykujmy to określenie — nowoczesny, staram się zarówno w życiu, jak i w mym aktorskim zawodzie iść z prądem życia nowoczesnego.

— Więc w czasie gry, na scenie, nie brak panu suflera?

—O! wręcz przeciwnie. Jestem bardzo zadowolony, że go niema a nawet dziś już uważam, iż granie z suflerem stało się wprost niemożliwe. Dawniej, a także i obecnie w teatrach, które jeszcze grają z suflerem, świadomość jego istnienia w tradycyjnej budce było czemś, co przeszkadzało swobodnemu rozegraniu się i dobremu samopoczuciu aktora na scenie. „Widmo“ budki suflera prześladowało aktora całe wieki, towarzyszyło każdemu jego krokowi, aż wreszcie zerwał on z niem i rzucił do niepotrzebnych rekwizytów teatralnych. Jestem zdania, że budka suflerska, to poprostu synonim skrępowania aktora w jego grze i niewolniczej zależności od tekstu sztuki.

Słucham ciekawych wywodów artysty i wreszcie zapytuję:

— A czy tego skrępowania, tej zależności, niema w dalszym ciągu? Powiedzmy, czy reżyserja nie narzuca aktorowi ram i swego własnego punktu widzenia na daną rolę?

P. Wojtecki odpowiada:

— Zapytuje mnie pan o bardzo istotną sprawę. Jeśli chodzi — dla przykładu — o moją pracę w Teatrze Malickiej, czuję się tu pod każdym względem idealnie. Wiem jednak, iż reżyserzy bardzo często w swej pracy tamują rozwój indywidualności artysty. Pochodzi to stąd, iż ostatnio, zarówno zagranicą, jak i w kraju zjawiła się tendencja oddania w teatrze decydującego głosu reżyserowi. Sądzę, że jest to stanowisko niewłaściwe. Mówi się naprzykład o braku nowych talentów aktorskich. Kto wie, czy nie są temu winni reżyserzy. Dawniej aktor musiał sam wszystko zdobywać, sposób gry, opanowanie i „postawienie roli“, swoją inwencję; był odpowiedzialnym osobiście za to, co robi i jak gra. Dzięki temu aktor miał możność ukazania swych prawdziwych wartości. Dzisiaj aktor jest przez reżysera przeważnie wiązany i krępowany. Metody pracy reżyserskiej nie liczą się z psychiką artysty i jego możliwościami indywidualnemi; sądzę, że tak jest, mimo, iż większość reżyserów twierdzi kategorycznie, iż nikt tak, jak właśnie oni, to jest reżyserzy, pracują nad pogłębieniem i wydobyciem indywidualności aktora.

— A czy mogę zapytać, jeśli już jesteśmy przy tym temacie, co według pana byłoby ideałem reżyserskim?

— Ambicją reżysera winno być dozwolenie ukazania przez aktora jego własnego oblicza indywidualnego; reżyser winien być doradcą, inspiratorem, czuwającym nad zachowaniem ogólnej linji danej roli.

Przechodzimy na inne tematy. Dowiadują się, iż pasją p. Wojteckiego jest tenis, oraz prowadzenie samochodu. Właśnie od kilku tygodni artysta jest szczęśliwym posiadaczem nowiutkiego Fiata, którym zarówno sam, jak i jego małżonka osobiście kierują.

Gdy pisze się sprawozdanie z wywiadu z aktorem, nie sposób nie wymienić choćby kilku ostatnich jego ról. Obecnie gra p. Wojtecki w nieśmiertelnej komedji Nikodemiego „Świt, dzień i noc“, granej na scenach polskich około 1300 razy z Marją Malicką w roli głównej. Występ p. Wojteckiego w tej dwuosobowej sztuce był nielada wysiłkiem artystycznym, wszakże p. Wojtecki objął rolę, którą kreował przez kilkanaście lat, grając ją około 1200 razy we wszystkich miastach i miasteczkach kraju, aktor najwyższej miary, jakim jest Węgierko. Trzeba lojalnie przyznać, a podkreśliła to z uznaniem krytyka, iż p. Wojtecki wywiązał się ze swego zadania znakomicie, wprowadzając do tej trudnej roli nowe walory, a przedewszystkiem czar swej młodości i beztroski humor

A propos owej młodości p. Wojteckiego, dochodzi między nami do zabawnego nieporozumienia. Gdy w rozmowie przypominamy sobie inne role artysty, jakie odtwarzał w Teatrze Malickiej w ciągu ostatnich dwóch sezonów, a więc rolę tytułową w „Zamieszaju“, hrabiego w „Trafice pani generałowej“, Franka w „Profesji pani Warren“, i inne, notuję je, i jak to zwykle bywa, stawiając w notesie kropkę, powiadam na zakończenie:

— No, to chyba wszystkie role?

— Co takiego? — śmieje się p. Wojtecki. — To są role z ostatnich dwóch lat, a przecież ja jestem na scenie już.. dziesięć lat!

Teraz zkolei mnie ogarnia zdumienie: p. Wojtecki jest młodym, śmiało rzec można „chłopcem“, nie wyglądającym stanowczo więcej, nad 23 lata.

— A tak, tak, powtarza artysta. Już dziesięć lat. Najpierw prowincja, potem Kraków pod dyrekcją Osterwy, aż wreszcie teraz stolica. Czas pędzi i rzuca człowiekiem tu i tam. Najbliższy zaś sezon, to będą gościnne występy w Łodzi i we Lwowie. — W aktorze zawsze siedzi ten wieczny włóczęga. Dziś tu, a jutro tam. To jednak ma swój wielki urok.

R. B.



Fot. Halina Skowrońska »Rafael« — Warszawa.

„Idę szczytami gór na zachód...“



JERZY OLESKI

NOWELA

Wiatr strzępił watę mgieł na szczytach sosen, rozsnuwał ją pasmami pajęczyny między szczytami gór, kłębił ją i spychał w dolinę huczącego na skałach Pietrosu, to znowu gnał mgły ku górze na nagie głazy wierchów, rozwłóczył i zawieszał na pnącej się ku górze kosodrzewinie, pod którą kłębiły się wężowiska wykrotów. Gdzieś na wyniosłych przełęczach gór przewalały się mleczne opary mgieł z jednej doliny w drugą, pełzały po skalistych usypiskach, czaiły się przed wiatrem w zacisznych kotlinach leśnych, lotne, nieuchwytne, niby bezkształtne duchy górskiej puszczy.

Pod okrytemi zielonym nalotem głazami szemrały strugi górskich strumyków, łączyły swe wartko płynące wody i srebrzystą wstęgą waliły się w dół z szumem wszystkiemi żlebami.

Na wysokich zboczach czerniły się rozległe pola gorgów, jak ponure pobojowiska wichrów i burz.

Dołem las się ścielił, majestatyczny, pełen głuchych ostępów, w których nocą misterja odprawiały się tajemne. Szańcami obalonych drzew, kolcami krzaków malin bronił szlaków, wiodących do głębi puszczy, znaczonych czerwienią muchomorów na blado-zielonym kobiercu igliwia.

Małe, szare jaszczurki wypełzły ze swych kryjówek i ułożywszy się na obalonych kłodach drzewa, nieruchomiały w słońcu, które wędrując wśród płynących na niebie obłoków, kładło na ziemię złote plamy jasności i ciepła.

Wysoko nad zielenią lasów kołowały powoli, bez drgnienia skrzydeł dwa duże zbójniki-jastrzębie, jakby zawieszone u stropu niebios.

Dziko tu było i niegościnnie.

Kiedy blado-niebieski dym z komina schroniska na Jali zniknął z oczu Andrzeja i kiedy ciężko pokłute buty zachrzęściły na ścieżce za torem kolejki, idącej w głąb gór, było mu już nieswojo. Wyrzucał sobie, że sam bez towarzysza wybrał się na wycieczkę. Sytuację łagodził przez pewien czas fakt, że szedł jeszcze wzdłuż toru kolejki, że tu i ówdzie widniały jeszcze ścięte ludzką ręką olbrzymie stosy drzewa, co świadczyło, iż bywali tu jeszcze ludzie. Fakt ten dodawał mu otuchy. Lecz kiedy czerwono-biały szlak na pniach drzew i głazach przy ścieżce minął ostatni kraniec wąskotorowej kolejki i zboczem począł piąć się ku górze, gdy ścieżka kamienista stawała się coraz mniej wyraźną, Andrzej odczuł nanowo niepokój i osamotnienie. Uczuć tych nie mógł sobie niczem wytłumaczyć. Wszakże już nieraz sam zagłębiał się w serce gór, przebywając w nich zdala od ludzi częstokroć po kilka dni. Dlaczegóż więc dzisiaj własny krok odbijał się jakiemś obcem echem, dlaczegóż inną wydała mu się górska puszcza?

Mocniej ścisnął w ręce laskę i jakby dla dodania sobie otuchy dotknął chłodnej stali pistoletu. Nie szedł dziś jednak tak ochoczo, jak dawnemi czasy. Plecak zdawał się cięższy nad miarę i buty były jakby cięższe niż zawsze. Szlak skręcał ostro ku górze słoneczną polaną między lasami, wił się urwistem zboczem, przepadał w cieniu wysokich świerków, aby znowu wychynąć wysoko nad głową u podnóża kosówki.

A tam u stóp, w dalekiej perspektywie siniały, jakby za błękitnym woalem, lasy spływające w dolinę, która rozciągała się między dwoma pasmami gór. Gdzieś na krańcach doliny widoczny był dym, który nieśmiałem, nikłem pasemkiem wzbijał się ku niebu.

Andrzej spojrzał na zegarek i stwierdził, że godzina jest późna i że strome podejście wymagać będzie jeszcze wiele czasu, zanim stanie na szczycie wyniosłej Popadji.

Szedł teraz granicą polsko-czeską, którą stanowił szeroki pas wyciętej kosodrzewiny. Nad górną krawędzią kosówki rozciągało się już tylko pole zzieleniałych głazów, nagie i odsłonięte na wichry.

Lecz i tu wśród głazów, pod samym szczytem, ślad ludzkiej ręki żłobił się dawnemi rowami strzeleckiemi. Sterczące na przedpolach szczerniałe kije, na których rozpięty był kiedyś drut kolczasty, stanowiły wymowne świadectwo, iż nienawiść ludzka nie zna granic, zakreślonych prawami natury. Tu na szczytach gór, jakby na wysokich, ku niebu wzniesionych ołtarzach ziemi, prawiła się kiedyś krwawa hekatomba na cześć demona wojny.

Ileż dni strasznych przecierpieli w tych rowach ci, którzy własnemi je wygrzebali rękoma.

Ze szczytu roztaczał się daleki widok hen aż ku niknącej w mgłach Sywuli.

Stojąc na szczycie, patrzył Andrzej zachwyconemi oczyma ku dolinom i sterczącym nad mgłami wierchom po stronie polskiej i na dalekie szczyty Karpat czeskich.

Lecz słońce poczęło coraz bardziej chylić się ku zachodowi. Sine dotąd lasy stawały się coraz bardziej granatowe a w kotliny spływał coraz silniejszy cień wyniosłych gór na szmaragdowe, leśne polany.

Czas było rozpocząć zejście.

Wypatrując szlaku na głazach, szedł Andrzej stromą ścieżką w dół a w tej przeogromnej ciszy, która kładła się wraz ze zapadającym zmierzchem, słychać było szelest strącanych nogą kamieni i zgrzyt okucia laski na skalistem podłożu. Mroczno już musiało być pod arkadami świerków, hieratycznych kolumn lasu, który ścielił się dołem u podnóża gór.

Mrok z nich wypełzał coraz gęstszy, jeszcze nieśmiało, kryjąc się u północnych stoków gór, lecz w miarę jak ostatnie blaski słońca gasły na szczytach, wdzierał się zdradziecko coraz wyżej, wlokąc za sobą granatowy tren nocy.

Andrzej zaczynał pojmować, że nie zdoła dojść przed zbliżającą się nocą do schroniska, tem więcej, że szlak zaczynał gubić się w zmroku a pnie, głazy i wykroty leśne stwarzały wiele niebezpiecznych zasadzek.

Teraz dopiero stwierdził, iż widocznie zeszedł ze szlaku, bo ścieżka, która wiodła dotąd wyraźnie w głąb lasu, zatraciła się gdzieś na mchach i igliwiu a drogę zagradzały pnie i gałęzie drzew.

Zaszedł widocznie w głuchy ostęp, z którego w nocy nie było wyjścia. Klucząc wśród przeszkód, zatracił kierunek, z którego przybył. Latarka na chwilę rozświetliła jasną smugą ciemności, lecz blask jej padał na najbliższe pnie drzew, za niemi zaś rozciągała się w koło nieprzebita ściana nocy.

Uradował się tedy Andrzej szczerze, gdy drzewa przerzedziły się na chwilę i ukaza

ła się stara, opuszczona „koliba" na małej polance.

Przez chwilę zastanawiał się, ktoby mógł ją kiedys zbudować w tem miejscu, skoro w puszczy tej ani owiec wypasać nie było można, ani też w pobliżu nie było zrębu, któryby świadczył, że mieszkali tu kiedyś drwale.

Dach jej sczerniały z łupanych desek, osiadł nisko nad ziemią, wtopiony w mrok, niby ponura, czarna skała.

Nie łatwo ustąpiły drzwi ciężkie, obrosłe mchem, napoły przegniłe, do których drogę zagradzały rozrośnięte bujnie paprocie. Z wnętrza biła woń stęchlizny i zbutwiałego igliwia. Nieprzeniknioną ciemność rozsiadła się pod dachem, tylko górną luką, przez którą kiedyś uchodził dym z palonego wewnątrz ogniska, padało blade, migocące światło gwiazd na firmamencie.

Zachrobotało coś pod dachem, potem ptak jakiś nocny, który obrał sobie tu schronienie, bezszelestnie i cicho wyleciał górnym otworem.

Wokoło puszcza szumiała głucho.

Andrzej obejrzał wnętrze szałasu. Znać było, że od dłuższego czasu nikt w nim nie przebywał. Na środku czerniło się spłukane przez deszcze palenisko, w kącie zaś nagromadzony mech i gałązki uschłej jedliny, stanowiły ongiś czyjeś leże.

Niesamowicie tu było, jak w opuszczonej jaskini troglodytów, lecz innego wyboru nie było. Tuż za szałasem rozciągał się gąszcz, plątawisko krzaków i pni, o którego przebyciu przed nastaniem poranka nie można było myśleć.

Ułożywszy w kącie plecak, przystąpił Andrzej do rozniecenia ogniska.

W ciemności przed szałasem zebrał nieco suchego chrustu, ułożył go w mały stos i zamknąwszy drzwi, zapalił ogień.

Płomień liznął naprzód suche igliwie, które z cichym trzaskiem zapłonęło, potem objął gałęzie i wzbił się wysokim słupem ku otworowi w dachu. Ściany szałasu jakby rozszerzyły się w świetle ognia, w otworze zajaśniał różowy poblask na tle ciemnego firmamentu, a złote skierki, niby rój świetlików, wolno wypłynęły ku górze. Cienie zaczaiły się w rogach, drgające, jakby sprężone do skoku na wrogi ogień w środku szałasu.

Gdzieś daleko z gór nadpłynął potężny zew jelenia i zamarł w poszumie jodeł. Potem słychać było jedynie szemranie strumyka na kamieniach w pobliżu.

Długo widocznie siedział Andrzej przy ognisku, bo kiedy ocknął się, ognisko dopalało się ostatniemi błyskami. Późna musiała być godzina, chociaż do rana było jeszcze daleko. Tylko noc iskrzyła się w otworze nad szczytami jodeł miljardem gwiazd.

Andrzej począł nadsłuchiwać.

Za ścianą szałasu rozległ się szelest — potem coś przekradło się pod ścianami i skoczyło za węgieł, jakby ktoś kijem rozgarniał zeschłe liście — zagwizdało przeciągle w szczelinie i dym z ogniska, jakby złośliwie z dachu zdmuchnięty, cofnął się od otworu, zakotłował się i rozłożył mlecznym obłokiem w kątach.

To wiatr wyprawiał nocne harce.

Andrzeja począł ogarniać niczem nieuzasadniony niepokój. Czujność spreżyła się w nim aż do bolesnego napięcia nerwów, słuch zaostrzony łowił teraz wszystkie nocne pogłosy puszczy, a oczy, wbite w ciemność, zdawały się dostrzegać rozpływające się kontury jakichś kształtów które na soczewki kładła rozbudzona wyobraźnia.

Poczuł się osaczony przez mrok nocy i puszczę.

Tylko tu pod dachem szałasu, jak w norze jaźwca, było bezpiecznie. Na zewnątrz czaiło się coś nieokreślonego, co wbrew logicznym perswazjom rozumu, potężniało, urastało do jakichś gigantycznych rozmiarów. Powoli, jak pod wpływem środka znieczulającego, poczuł Andrzej drętwienie karku. To strach, sączący się przez rozluźnione nocą filtry rozsądku, nasiąkał w nerwy i paraliżował je.

Darmo usiłował go zneutralizować zastrzykiem ironji, darmo przywodził na pamięć wszystkie historje, zasłyszane o nocnych strachach, które za dnia okazywały się strzępem gazety lub odartym z kory pniem.

Cóż to świeciło w kącie szałasu?

To próchno biło blado seledynowym blaskiem.

Lecz równocześnie gdzieś z podświadomości wypełzał tłumiony lęk i stokroć wyraźniej, niżli suchy głos rozsądku, kładł na ekran wyobraźni kłębiące się mary jakichś klechd i baśni, które stapiały się z sobą, patrzyły setką par oczu, wiły się i wyciągały ręce, wspomagane przez akompanjament puszczy.

I znowu, bijący z kąta fosforyczny blask, nie był próchnem, lecz okiem w wykrzywionej twarzy gnoma.

Potem uczyniła się cisza tak wielka, że zdawało się, iż słychać, jak czas powoli w klepsydrach przesiewa ziarna piasku.

Po chwili rozległ się trzask łamanej pod stopami gałązki...

Ktoś nadchodził...

Andrzej złowił uchem następne kroki, tak ciche, że przez moment zdawało się, że to znowu wiatr łudzi słuch.

Ręka zacisnęła się w kieszeni powoli drapieżnym ruchem na kolbie pistoletu, a palce automatycznie odsunęły bezpiecznik. — Oczy wbiły się w drzwi szałasu, przy których na chwilę zamarł szelest kroków. Cisza, która trwała zapewne kilka sekund, zdawała się sączyć krople wody na rozgorączkowany mózg, jak przy wymyślnej chińskiej torturze i trwała całe godziny.

Chmura na niebie w otworze dachu przysłoniła na chwilę migocące gwiazdy.

Wypłynęło z nocy ni to westchnienie czyjeś, ni to jęk wiatru w konarach drzew.

Drzwi otwarły się powoli, jakby je wiatr szeroko odgarnął.

A w nich stanął człowiek.

Ubrany był w kaszkiet, kurtkę turystyczną i krótkie spodnie; na nogach miał ciężkie buty. Niósł plecak i w ręce siekierę. Był widocznie, jak Andrzej, zbłąkanym w nocy turystą.

— Dobry wieczór — rzekł cichym, niskim głosem, jeszcze z przed progu szałasu.

Ogień dopalił się całkowicie, tylko popielejący żar mienił się falami błysków.

Andrzej odpowiedział na pozdrowienie i wówczas nieznajomy wszedł do wnętrza. W mrocznym kącie szałasu złożył swój plecak i usiadł na kamieniu.

Andrzej oczekiwał rozmowy i opowiadania, do których tak wiele sposobności dostarczyło to niezwykłe spotkanie. Winni byli sobie wzajemnie wyjaśnienia, skąd i dokąd szli, w jaki sposób znaleźli się w tym zagubionym w lasach szałasie, co pocz ną i dokąd udadzą się jutro z nastaniem poranka.

Spojrzał w twarz nieznajomego, lecz w skąpem świetle dojrzał jedynie wyłaniającą się z cienia płaszczyznę wysokiego czoła i słaby zarys policzków i nosa. Wyczuł raczej, niż dojrzał, że oczy, ukryte w cieniu oczodołów, patrzyły w dogasające ognisko.

Był jakiś kamienny spokój w tej postaci dużej, która zdawała się stapiać z otoczeniem. Błyski pełzały po białych rękach, zaplecionych palcami na kolanach. Te dłonie białe świeciły jasną, nieruchomą plamą. Zdawało się Andrzejowi, że kiedy palce tych dłoni rozplotą się, wtedy usta przemówią. Dlatego patrzył na nie uporczywie, jakby to one właśnie miały przemówić. Na jednym z palców jaśniał pierścień. Teraz w blaskach żaru ogniska, jak kropla krwi czerwienił się w nim rubin.

Cisza poczęła ciążyć Andrzejowi bardziej, niżli poprzednia samotność. Postanowł ją tedy przerwać i wszcząć sam za wszelką cenę rozmowę.

— Czy pan także wyszedł z Jali? — rozpoczął pierwsze pytanie, obiecując sobie, że po nim nawiąże się rozmowa.

— Nie! — odparł zmęczonym, powolnym głosem nieznajomy. — Wyszedłem przed dwoma tygodniami z Worochty i idę szczytami gór na zachód. Zbłądziłem w tej gluszy. — Po chwili, jakby tonem usprawiedliwienia dodał. — Jestem bardzo zmęczony...

Mogło to również oznaczać, że nie był usposobiony do dalszej rozmowy, lecz Andrzej postanowił nie zrażać się i skrócić rozmową czas, który pozostawał do rana:

— Pan również samotnie wędruje, jak ja. Ma to swoje dobre strony. Lecz czasem w tej pustce przykro jest pozostać z własnemi myślami.

— Tak! Smutno tu tym, którzy są sami — odpowiedział raczej sobie, niżli Andrzejowi nieznajomy.

— Tam w miastach ludzie śpią teraz w wygodnych łóżkach i śnią rozkoszne sny, może o szczęściu, może o miłości, dzieci uśmiechają się przez sen do kolorowych bajek, a my zagubieni w tej puszczy siedzimy przy wygasłem ognisku... — snuł głośno swoje myśli Andrzej.

Czy to blask żaru zalśnił w białkach oczu nieznajomego, czy też w pryzmacie łez załamało się światło?

— Dzieci uśmiechają się przez sen... — wyszeptał po chwili nieznajomy, jakby to zdanie najgłębiej zapadło mu w duszę i odbiwszy się w niej echem, wypełzło cicho na usta.

Wiatr omiótł polanę wokół szałasu i zajęczał gdzieś w poszyciu lasu.

Andrzej ocknął się. Przygodny jego towarzysz siedział jak przedtem nieruchomo. Twarz mrok ogarnął całkowicie, tylko białe dłonie różowiły się jasną plamą w ciemności.

— Nie rozmowna cholera — pomyślał Andrzej z niechęcią.

Postanowił zadać jeszcze jedno pytanie:

— Pan zapewne w dalszą wędrówkę się wybiera?

— Tak! Jeszcze daleka droga przedemną — odparł nieznajomy.

Westchnął głęboko, jakby ciężar gniótł jego szeroką pierś i zapadł w zadumę, czy też w odrętwienie.

Andrzej zrozumiał, że towarzysz nie zamierza kontynuować rozmowy, a zarazem i sam poczuł do niej zniechęcenie. Należało ją odłożyć do rana.

Ciemność ogarnęła szałas. Żar ogniska przygasnął, snując jedynie nikły dym ku otworowi w dachu. Nie było drew, aby ogień podsycić. Głowa zaczynała ciążyć coraz bardziej, dopóki czoło nie oparło się na kolanach.

Szałas zaległa cisza.

Noc, jak pająk kosmaty, wisiała u pułapu nieba.

— — — — — — — —

Chłód świtu obudził Andrzeja.

Rozejrzał się po szałasie, do którego wdzierały się pierwsze promienie słońca.

Las wkoło szumiał poranną pieśń szczytom, które skąpane w słońcu zdawały się płynąć przeciw chmurom.

Nieznajomego nie było w szałasie, nie było też jego plecaka. Odszedł więc bez pożegnania.

Teraz dopiero uświadomił sobie Andrzej, że w nocy przy ognisku nie przedstawili się sobie wzajemnie.

— Dziwak jakiś, kot, co chodzi swojemi drogami — zakonkludował Andrzej.

W duszy był rad, że w tak prosty sposób uwolnił się od dziwnego przybysza. Przed nim był cały dzień. Nie odczuwał więcej potrzeby towarzystwa.

Świat perlił się jeszcze kroplami rosy, gdy Andrzej po skromnym posiłku ruszył ku dolinom.

Dokończenie na str. 31-ej

JESIENIĄ PO SŁOŃCE

Fot. Janusz Makowski — Berlin.



PÊLE MÊLE

Płynie śpiew
Wśród drzew
Pomarańczy...

Już nie wszędzie, bo i na tem spoczęła ciężka ręka władzy. Oto w Messynie nim się odśpiewa serenadę pod oknem ukochanej, trzeba za lirów 10 wykupić policyjne pozwolenie!

W Nairobi (w Kenya — wsch. Afryka) pewna dzielna murzynka, po studjach w Londynie i Paryżu założyła pismo poświęcone modzie dla murzynek. Między innemi piętnuje jaskrawość sukien swych współrodaczek i zaleca im noszenie kolorów raczej spokojnych. W piśmie swem umieszcza też rady i dla murzynów, by nie ubierali się... tak, jak się ubierają. Przypomina mi się w związku z tem, że swego czasu w USA ciężkie dolary zarobiła inna murzynka na wynalezieniu środka, usuwającego kręcenie się włosów murzyńskich.

O codziennej pracy w kółku rodziny mało się mówi i myśli. Dawno już obliczono, wiele krzątająca się przy sprzątaniu i gotowaniu pani domu łącznie przedrebcze kilometrów: oto w przeciętnem gospodarstwie 5 km dziennie.

Do tego trzeba dodać wysiłek na stanie i tyle innych czynności. Samo prasowanie jest n. p. równowartością dalszych paru kilometrów. Nic dziwnego też, że na zachodzie a głównie w USA, już dawno pomyślano nad racjonalizacją urządzenia kuchni i stworzono prawdziwe cuda w tym kierunku. — I nie mogło być inaczej w kraju, gdzie pani domu pracuje często w biurze, a służba jest ogromnie droga. Musiał się znaleźć sposób na zmniejszenie gospodarskiej pracy do minimum.

W Ameryce studentka Miss Veddor, po 6-miesięcznych studjach, przedłożyła pracę na temat: mycie naczynia w gospodarstwie. W dysertacji swej wykazuje m. in., że mycie naczynia w 4-osobowem gospodarstwie wymaga minimum 1500 ruchów i 22 minut czasu. Nic dziwnego wobec tego, że większe hotele za granicą mają maszyny do mycia i suszenia zastawy.

Nie tylko o zorganizowaniu gospodarstwa ale i o ujęciu mody w fach myślą Amerykanie. W Toronto otworzono właśnie katedrę mody z nadawanym tytułem doktora, ale na słuchaczy przyjmuje się wyłącznie mężczyzn. Pewnie, pewnie w pierwszym rzędzie myśmy powinni mieć głos w sprawach, które bądź co bądź nas dotyczą. Czy to jednak okaże się praktycznem — czas okaże!

I dalsze sensacje nadlatują do nas ze Stanów Zjednoczonych: oto w Reno (miasteczko, które stało się „centralą" rozwodową w Am. Północnej (w ciągu 19 minut udzielono 74 rozwodów i pobito tem samem nietylko światowy, ale i miejscowy rekord. Naodwrót znów w stanie Luizana wydano prawo, zabraniające więcej razy się żenić niż 10. Powód? A bo pewien aktor właśnie po raz 24 (i to zupełnie legalnie) wszedł w związki małżeńskie. Przypuszczam, że na tych warunkach najzatwardzialszy kawaler zgodziłby się na zmianę swego stanu cywilnego! Żeby skończyć z Ameryką: w Hondurasie ogłoszono na sprzedaż... wulkan autentyczny, ziejący ogniem i lawą. Zainteresowani zechcą zgłosić się w tamtejszem Min. Spraw Zagranicznych, o ile rozporządzają gotówką zł. 1,300.000. Zresztą, prawdopodobnie, możnaby coś z tego utargować.

Z okazji wystawy odbywa się w Paryżu międzynarodowy zjazd astrologów. Trudnoby się domyśleć, że ten zjazd będzie miał wielkie znaczenie dla... jubilerów. Wszyscy wprawdzie wiedzą, że pewne kamienie przynoszą szczęście, ale — niestety — nie było dotąd ustalonem, jakie kamienie w jakim miesiącu. Stąd niezliczone reklamacje u sprzedawców talizmanów. Związek jubilerów, wykorzystując chwilę, skierował do najwyższego aeropagu astrologów prośbę, by nareszcie tę ważną kwestję ostatecznie ustalili. Niewątpliwie wszyscy z zapartym oddechem będą oczekiwać wyniku narad!

Na Filipinach nie wolno policji wchodzić do domu żałoby. Również zakazane tam są gry hazardowe. Cóż robi wobec tego pomysłowy Manilczyk? Oto kładzie u wejścia do domu nieboszczyka, by w dalszych ubikacjach „niepocieszeni krewni" mogli pocieszać się przy rulecie lub baczku. Nic dziwnego, że wobec tego w Manili widzi się niektóre domy w stałej „żałobie"!

Z okazji 700-lecia Berlina zliczył jakiś cierpliwy statystyk długość drutów telefonicznych i telegraficznych Wielkiego Berlina. Wypadła z tego liczba równa dziesięciokrotnej odległości księżyca od ziemi.

Z Holandji nadeszła wieść, że nawiedziła ją istna plaga much. Mieszkańcy znów wysepki Urk w morzu Yssel rozpaczają spowodu najazdu dużych czarnych pająków. Stworzenia te tak opanowały wysepkę, że dosłownie wszędzie rozpościerają swe olbrzymie, często metrowe sieci. Latarnie uliczne np. trzeba codzień oczyszczać. Pająki prawdopodobnie ściągnęły w ślad za muchami, za pająkami znów nadleciały całe chmury jaskółek. Ale pomimo wzajemnego tępienia się nie ubywa ani much ani pająków. Ko na tem zyskuje? Prawdopodobnie tylko jaskółki.

W okresie ciągłego pogotowia wojennego mała reminiscencja: po wynalezieniu broni palnej zbroje powędrowały do lamusa. A kto je częściowo wskrzesił w okresie wojny światowej? Oto prof. mechaniki w Hannowerze dr inż. Fr. Schwerd, łącznie z prof. Bierem, w 1915 r. wystąpił z pierwszym projektem hełmu z hromo-niklowej stali. Oprócz tego w wojnie używano często płytek stalowych, zasłaniających serce. Przypomniały te fakty gazety niemieckie z okazji przejścia wynalazcy na emeryturę.

Z Sidney sygnalizują bardziej pokojową, choć nieprawdopodobną wiadomość: próbują tam zamiast strzyżenia owiec, robienie im zastrzyków. Po 2 dniach wełna wypada, by potem znów odrastać. Jeśli to się sprawdzi, to będzie to znacznem ułatwieniem „zbiorów" wełny!

W Londynie odbył się właśnie kongres stenografji pod przewodnictwem lorda Stewarta of Bury. Zbiegły się z nim rocznice: 2000 lat od pierwszego znanego nam stenografowanego posiedzenia, a to z dn. 5 grudnia 63 r. przeciw Katilinie — 350 lat od ulepszenia przez Timothy Brighta stenografji Johna of Tilbury z 1175 r. — 100 lat od wynalezienia przez Pittmana nowej stenografji angielskiej — 50 lat od ulepszenia jej przez Gregga i 25 od wynalezienia stenografji węgierskiej. Owocem kongresu ma być zbiorowe dzieło o stenografjach i próba dalszych ulepszeń. Coś z historji: starożytna stenografja zaginęła z upadkiem Konstantynopola: ojczyzną nowoczesnej jest Anglja (John of Tilbury), gdzie też słowo stenografja po raz pierwszy trafia się. Dla porównania podam, że w/g systemu rzymskiego Tirona można było notować około 90 zgłosek na minutę; obecne rekordy dochodzą do 400, przyczem mężczyźni są szybsi od kobiet.

Paryskie gazety donoszą z dumą, że złodziej, który wyciągnął jednemu studentowi portfel z znajdującemi się tam tylko kartkami zastawniczemi, odesłał mu... wykupione przez siebie przedmioty, tj. zegarek i ubranie. Rzeczywiście o takim wypadku w Polsce nie słyszałem; jednak muszę zanotować inny fakt, świadczący o pewnej kulturze naszych „specjalistów". Oto do mego znajomego zakradł się w nocy złodziejaszek i zabrał mu ubranie z pieniędzmi, ale przedtem wyjął z kieszeni listy i legitymacje i zostawił na miejscu. Musiał wiedzieć, co to znaczy wyrabianie sobie dowodów osobistych! A propos: na ogólno-amerykańskim zjeździe hotelarzy stwierdzono, że najwięcej w hotelach „ginie" zastawy stołowej. W r. 1936 np. niedoliczono się 112 cetnarów srebra!

Amerykańskie filmy słyną z doboru girlsów. Ten przemiły typ dzieli się u nich, fachowo i w wolnem tłumaczeniu, na „kucyki", „tancerki" i pokazowe". Kucyki są wzrostu od 1.56—1.61, a wagi około 45 kg; tancerki: 1.61—1.70, wagi około 50 kg. Typ pokazowy jest pomysłu Ziegfielda. Mają one tylko chodzić z doskonałem wyczuciem rytmu. Wzrost 1.75, waga 53 kg. Wiek wszystkich tych panienek jest 18—24 lat. Za te wszystkie zalety dostają 50—75 dolarów tygodniowo. Wiele ich jest w Hollywood? Około 1100.—. Karjera girlsy trwa przeciętnie 3 lata, przyczem 1/3 wychodzi w międzyczasie zamąż. Specjalny typ pięknej girlsy określają Amerykanie jako o aerodynamicznej linji — „Streamline-girl". Wymiary? Proszę, podam przykład: wzrost 1.66, waga 50 kg, obwód piersi 90, w udach 88 cm, w pasie 58. Wbrew opinji dużo girlsów jest wykształconych i pisuje reportaże do gazet, artykuły do magazynów, ba! nawet książki; często są mężatkami (nie przyznając się do tego), a stanowisko ich z punktu widzenia studja jest dość wysokie.

I jeszcze coś ze świata filmu: sekretarka jednej z gwiazd zrobiła małą statystykę jej karjery. Otóż aktorka ta pozowała 70.000 razy (nie licząc filmu), odpowiedziała na ponad 100.000 listów, wysłała 200.000 zdjęć z autografem, miar w studiu przetrwała ponad 200, większych posiedzeń charakteryzacji 800, interwiewów około 1000. Już z tego tylko widać, że sławy ekranu nie biorą pieniędzy! Także i mężczyźni z filmu mają powodzenie, np. po kilka tysięcy listów tygodniowo, kilkadziesiąt próśb o lok włosów, a po udanym filmie liczne prośby o ubranie, buciki lub autograf na podeszwie! Zaiste dziwne są zamiłowania ludzi.

Za ojczyznę klubów uchodzi Anglja, lecz najstarszy klub jest w Brugge, Klub Związku Łuczników, istniejący od 1096 r.

Nietylko teraz wszystko normuje prawo. Z XIV w. zachował się cennik francuskiej policji, ustalający grzywny za różne uszkodzenia ciała. Za uderzenie pięścią płaciło się 1 sous, kamieniem 5 sous, naplucie w twarz 6 sous, a kopnięcie było drogą przyjemnością, bo stanowiło równowartość aż 10 sous. Za złamanie nogi lub wybicie zęba trzeba było wyłożyć 7 fr. Wreszcie pchnięcie szpadą było stosunkowo tanie — 13 sous.

Gazety angielskie podały niedawno nazwiska 10 najelegantszych pań w takiej kolejności: księżna Windsor (sławnym już jest jej ulubiony kolor niebieski, od niej zwany Wallis), księżna Kapurthala, która nosi na zmianę suknie europejskie i indyjskie, księżna Kentu, Harrison Williams, Martinez de Noz. Begun Aga Khan, baronowa v. Krieger, Gilbert Miller, księżna Poniatowska, baronowa Rothschild. Paryscy krawcy twierdzą, że wymienione panie w pierwszej połowie 1937 roku wydały nie mniej, jak pół miljona dolarów na sukienki...

Na zakończenie coś groteskowego: na wysepce Bali (koło Jawy) w świątyni koło Singaraja, bóg Shiwa jest przedstawiony na rowerze!

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

Impresje



SŁOŃCE.

Słońce nie lubi przeciągów
Mgłą owinęło szyję
Okryło się chmurami,
Które są niczyje.
Złośliwie zmrużywszy oczy
Z wiatrem się droczy.



MOST.

Skoczył, zawisnął i opadł.
Kamiennym szwem
Dwa brzegi ścisnął i trwa.
Wędrują po nim lata.
On łączy ziemię z niebem:
Wracając, ty po nim przejedziesz...



PARNY DZIEŃ.

Słońce jest dziś dziwnie chore
I dzień wstał rano tak blady
I drogą się powlókł bosy...
Nie było rosy!...
Powietrze dziś niema powietrza,
Powietrze samo się dusi,
Drzewom zabrakło oddechu —
Deszcz być musi!



ŻYCIE

Życie sączy się zwolna
Przez rzeszoto czasu
Kapiąc jednostajnie
Krągłą kroplą dnia.
I noga za nogą
Nie czyniąc hałasu,
Wleczemy bladą pustkę
Ty, bracie i ja.

JAXA

NASZA ★ NOWA ★ ANKIETA

CO WIEM O MIŁOŚCI?

Miłość... Czy wiemy naprawdę, czem jest miłość? Czy wierzymy w jej istnienie? A jeśli wierzymy, to czy wiarą miłującej, rozpromienionej duszy, czy też wiarą niezłomną, wiarą całego życia?

Utarło się powiedzenie: prawdziwie kochać można tylko raz w życiu. Czemże w takim razie będzie ta druga, lub trzecia miłość, którą każdy z nas niewątpliwie przeżywa? Czy miłością „nieprawdziwą"? A może jakiemś nieznanem uczuciem, któremu jednak nie umiemy dać nazwy? Uderzmy się w piersi i powiedzmy sami przed sobą, szczerze, które z uczuć, żyjących w naszej pamięci nazwiemy „prawdziwą" miłością. Dalibóg, będziemy w nielada kłopocie. Miłość pierwsza wydawać się będzie zawsze ostatnią — a ostatnia miłość pierwszą.

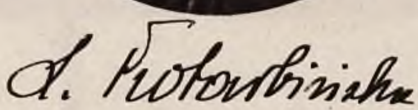
Co stanowi istotną treść miłości? Które akcenty będą w niej najważniejsze, tak, iż stanowić będą o jej istnieniu, pięknie i długotrwałości?

Oto możliwie najskromniejszy wykaz pytań, które nasuwają się w chwili, gdy marząco przymykamy oczy i wypowiadamy wielkie a nieznane, bliskie, a tajemnicze słowo... miłość. Spróbójmy na pytania te znaleźć odpowiedź.

Z naszą nową ankietą zatytułowaną: „Co wiem o miłości?" — pójdziemy do przedstawicielek i reprezentantów świata literackiego i artystycznego. W odpowiedziach, jakie spodziewamy się usłyszeć, napewno każda z pięknych Czytelniczek i „stuprocentowych" Czytelników naszego tygodnika odnajdzie cząstkę własnego serca, a może ciekawe spostrzeżenie, które w nadchodzącej, budzącej się miłości, będzie pożyteczną wskazówką...

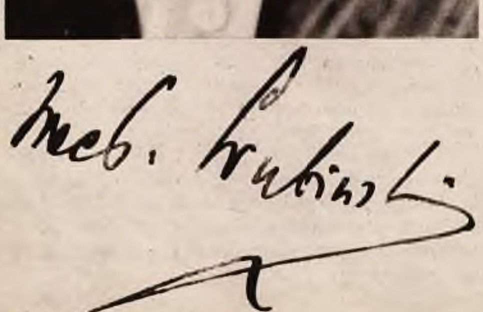
Na prawo w kole: Lucyna Kotarbińska.





Poniżej: Wacław Grubiński.





1. Lucyna Kotarbińska.

Pierwsze kroki kierujemy do kobiety niewątpliwie bardzo życiowo doświadczonej, a która swem wielkiem ukochaniem sztuki i piękna napewno potrafiła zbliżyć się w granicach ludzkiej możliwości do poznania ideału miłości. Znajdujemy się w staroświeckim saloniku p. Lucyny Kotarbińskiej, autorki kilku poważnych dzieł o teatrze, małżonki niezapomnianego Józefa Kotarbińskiego. P. Kotarbińska przyjmuje nas bardzo życzliwie, wprost ujmująco, i chętnie zgadza się na udzielenie wywiadu.

— Co wiem o miłości? Dużo! — brzmią słowa Lucyny Kotarbińskiej. Mąż mój stworzył mi warunki życia górne, prowadził myśl moją wzwyż. Byłam bardzo szczęśliwa. Zawodów miłosnych nie miewałam, bo kochanie moje nie było ujęte w formę częstotliwą. Idąc przez życie, poznałam zasadę, którą dla miłości uważam za naczelną...

— Jak brzmi ta zasada?

— Trzeba mieć w życiu zawsze równocześnie dwa przedmioty miłości: trzeba kochać kogoś i coś. To „coś" będzie bezpiecznikiem. rezerwą na wypadek, gdyby miłość do kogoś zginęła lub się skończyła. To „coś" może być rzeczą wielką: Naród lub kraj, bądź też choćby skromny wycinek życia, jak miłość dla sztuki, dla swej pracy. Z przezornością dobrej administratorki domu zawsze pamiętania o konieczności zorganizowania własnego wewnętrznego życia i dlatego kochając człowieka, miałam naściężaj otwarte serce dla tych innych miłości. Dawały mi one w ciągu życia ciężkie cierpienia, ale też i niewysłowione radości, które sprawiły, iż wiem, że niema miejsca na najokrutniejsze uczucie: nienawiść — w sercu zajętem przez miłość...

2. Wacław Grubiński.

Autor „Kochanków" i „Niewinnej grzesznicy", oraz głośnej z dysput na łamach prasy komedji p. t. „Lola Montez", zaczął swą odpowiedź od... chwili namysłu, a potem rzekł:

— O miłości należy przedewszystkiem powiedzieć ze społecznego punktu widzenia. Mówiąc krótko: człowiek zakochany jest lepszy; lepszy dla otoczenia, dla wszystkich. Przez miłość do jednej osoby budzi się w nas poczucie łączności z całym światem, spostrzegamy, że wibrujemy razem z ogromem kosmicznym, którego jesteśmy mikroskopijną cząstką.

Po chwili Grubiński dodał:

— Ale niech pan nie sądzi, że miłość jest czemś częstem. Pozwalam sobie być zdania Stendhala, który powiedział, że we Francji miłość jest równie rzadka, jak wielcy ludzie. W Polsce nie jest częstsza.

— Czy nie zechciałby pan określić miłości — tej prawdziwej?

Zawahawszy się, Grubiński sięgnął po książkę, oworzył ją i podał mi otwartą.

— Niech za mnie odpowie bohaterka „Niewinnej grzesznicy". W rozmowie z mężem tak mówi pani Zuzu o pocałunku prawdziwej miłości. Niech pan przeczyta.

Przeczytałem następujące słowa:

„Kiedy mnie całujesz niedobry Ryszardzie, jest mi przyjemnie, jest mi bardzo przyjemnie. I koniec. Ale pocałunek ludzi zakochanych... Ty nie wiesz, Ryszardzie! Kiedy się całują ludzie związani miłością, to w tym pocałunku bierze udział i niebo i ziemia i najsłodsze powiewy, zapachy i dźwięki. Wszystko wiruje wokół tego pocałunku. wszystko przenika jeden dreszcz, wszystko gra, śpiewa, szumi, wszystko się obraca w jednym rytmie, uczucie straszne i rozkoszne, uczucie unoszenia się ponad chmurami i jednocześnie tonięcia w oceanicznych głębinach, nie, niepojęte, Ryszardzie, niewymowne, nie do wypowiedzenia i upajające i aż dziw że miłosny pocałunek nie kończy się śmiercią".

3. Lena Żelichowska.

Z kolei udajemy się z prośbą o wywiad dla naszej ankiety do młodej i uroczej artystki, znanej ze swego żywiołowego temperamentu, p. Leny Żelichowskiej. Pani Lena wita nas z niekłamaną radością, oświadczając:

— Wywiad na temat miłości? Świetnie! Nareszcie wywiad nieszablonowy. O miłości można powiedzieć tak wiele!

Serdeczny uśmiech i gorące błyski w pięknych czarnych oczach pani Leny towarzyszą tym słowom. Poczem, uprzedzając moje pytania, artystka mówi:

— Spodziewam się, że zada mi pan mnóstwo pytań. Sądzę, że na wszystkie będę mogła zgóry dać jedną odpowiedź: miłość jest najpiękniejszą treścią mojego życia — nie mogłabym żyć bez miłości!

Podziwiam trafność spostrzeżenia młodej artystki. Istotnie, tego rodzaju odpowiedź starczy za najbardziej zawiłe wynurzenia. Ciekawość dziennikarza dyktuje mi dalsze pytania:

— Chciałbym jednak usłyszeć coś więcej. Czy potrafiłaby pani zdefinjować — co uważa pani za najważniejsze w miłości?

Lena Żelichowska odpowiada:

— Uważam, że odpowiedź na to pytanie będzie wartościowa tylko wtedy, jeśli będzie szczera. To też powiadam: najważniejsze są zmysły. Oczywiście pod warunkiem, iż budzą się one równolegle z poczuciem piękna i estetyki. Niemniej ważnem w miłości jest obopólne zrozumienie się kochających osób i bezgraniczne zaufanie.

— A czy zdaniem pani, kocha się w życiu prawdziwie tylko raz?

— Nie. Kochać można w życiu kilka razy, i wierzę, że każda z tych miłości może być głęboką, prawdziwą.

— No, ale chyba zdarza się, że jedna z miłości jest głębszą, poważniejszą?

— O tak — mówi artystka — tą najgłębszą miłością, najpiękniejszą, będzie miłość ostatnia. Ostatnia miłość, jeśli istotnie jest ostatnią, będzie najwięcej esencjonalna; znajdzie się w niej wszystko, co się przeżyło w poprzednich miłościach; będzie najsilniejszą i najtrwalszą.

Zachęcony widoczną szczerością artystki, z jaką udziela mi odpowiedzi, decyduję się na pytanie nieco niedyskretne:

— A czy wolno mi zapytać... czy pani teraz kocha?

— Ależ tak! — słyszę entuzjastyczną odpowiedź — dlatego też z taką radością rozmawiam o miłości. Powiem panu nawet coś więcej. Przeżywam teraz moją największą, ostatnią miłość...

— Dlaczego pani sądzi, że to jej miłość ostatnia?

Lena Żelichowska zastanawia się przez chwilę, poczem odpowiada:

— Proszę pana, każdy zakochany odpowie, że miłość, którą teraz czuje w swem sercu, jest miłością ostatnią...

4. Antoni Cwojdziński.

Zpośród czołowych współczesnych literatów decydujemy się na zaproszenie do ankiety głośnego autora „Freuda teorji snów", spodziewając się odpowiedzi niecodziennej — jakby rzec można — matematycznie odważonej. Jak wiadomo, Antoni Cwojdziński za temat do swoich sztuk teatralnych używa wyłącznie teoryj naukowych, zanim zaś wstąpił w szeregi literatów, był fizykiem. Istotnie oczekiwania nasze się spełniły. Mimo to realistycznie trzeźwą odpowiedzią Cwojdzińskiego jesteśmy zaskoczeni. Próbujemy dyskutować — napróżno. Autor „Freuda teorji snów" wypowiada swoje zdanie w sposób dobitny i zdecydowany:

— Co wiem o miłości? Wiem, że jest ona zjawiskiem przyrodniczem i że powinna pozostać w ramach zjawiska przyrodniczego!

— To jest cyniczne — przerywam p. Cwojdzińskiemu.

— A tak, proszę pana! Jest tylko środkiem do zdobycia celu i nim powinna zostać! Bo jeżeli sama staje się celem, jeżeli unicestwia inne dążenia człowieka, gdy wypełnia bez reszty całe życie i prowadzi do poświęcenia go kobiecie — staje się zjawiskiem patologicznem.

— Więc czemże jest owa najpiękniejsza miłość romantyczna?... — pytam.

— Ta najpiękniejsza miłość romantyczna była prawdziwem przekleństwem życia! — mówi mój rozmówca — stosunek do kobiety współczesny, jaki się daje zaobserwować po wojnie, jest antytezą tej miłości romantycznej, jest mimo wszystko zdrowszym i bliższym przyrody!

— Kobieta nigdy się z tem nie zgodzi! — przerywam.

— Kobieta mimo doraźnej wygody, jaką jej daje niewolnik, poświęcający jej swoje życie, gardzi nim! Bo wie, że życie jest rzeczą zbyt poważną, żeby wolno było poświęcać je kobiecie i miłości do niej!

— Myślę jednak, że prawdziwy mężczyzna chętnie poświęci życie kobiecie.

— Prawdziwy mężczyzna — odpowiada Cwojdziński — powinien się wstydzić „poświęcenia życia kobiecie". Takie poświęcenie powinno być policyjnie karane! Co najmniej jako obraza moralności publicznej! To samo — kończy komedjopisarz — powie panu każda współczesna kobieta, o ile tylko pozwoli sobie na szczerość!

* * *

Zamieszczone w niniejszym numerze pierwsze odpowiedzi na naszą nową ankietę: Co wiem o miłości? — stanowią niezwykle ciekawy materjał porównawczy. Każda z nich, zasadniczo odmienna w ocenie problemu miłości, nosi w sobie piętno charakteru odpowiadającego. Największą stosunkowo dyskrecję i powściągliwość w wyrażaniu swego zdania okazał znany dramaturg i krytyk teatralny Wacław Grubiński, który przemawiając przez usta swej bohaterki z „Niewinnej grzesznicy", przenosi miłość w zaświaty. Najbardziej zdecydowaną odpowiedź dał Antoni Cwojdziński, ceniony komedjopisarz i reżyser teatralny. Autor „Freuda teorji snów" nie szuka miłości między gwiazdami — znajduje ją na ziemi, widząc w niej zjawisko czysto przyrodnicze. Powaga wieku i zarazem nieodparty urok nigdy nie gasnącej kobiecości uzewnętrzniły się w odpowiedzi p. Lucyny Kotarbińskiej, kontrastując z żywiołowym temperamentem i bezpośredniością opinji p. Leny Żelichowskiej.

Bitwa o szczere wypowiedzenie się na temat naszej nowej ankiety została wydana. — Walczący zaciągają się pod sztandary bronionych przez siebie ideałów. Pierwsi wstąpili już w szranki. Za tydzień już powiększą się ich szeregi.

Romit.

Poniżej: Antoni Cwojdziński.



Na lewo: Lena Żelichowska.



BIAŁE ŻAGLE WRACAJĄ

Do Gdyni powróciły polskie jachty z dalekich podróży morskich... Niedawno jeszcze międzynarodowy obóz wyszkolenia morskiego, prowadzony przez A. Z. M. w Jastarni, tętnił życiem... Zgórą 350 młodych przeszło szkołę żeglarską na jachtach pełnomorskich, w słońcu czy w sztormie, poznając piękno i grozę morza. Dzisiaj młodzież wraca do swych studjów i zajęć codziennych...



Jacht „Poświst" na szkolnem pływaniu.
Fot. A. Progulski — Lwów



Na lewo: „Załoga" wykonuje zwrot przez sztag... *Fot. A. Progulski, Lwów*

Na prawo: Kapitan porozumiewa się semaforem z jachtem holowanym. *Fot. A. Progulski — Lwów*

Pozostaną jej jednak zawsze w pamięci słoneczne, czasem znów groźne chwile, spędzone na wodach zatoki lub w dalekich podróżach. Mgły u brzegów Szwecji, czar północnych fjordów, czy zielone brzegi Danji...

Morze było im bliskie z niskiego pokładu jachtu. Poznali je — zrozumieli i pokochali.

Kto raz żeglarskiego życia zakosztował — wierny morzu zostanie!



Jacht „Krzysztof Arciszewski" wraca z podróży do Szwecji. *Fot. A. Śmiałowski — Lwów*





Spotkanie na morzu...
Fot. L. Wielezyński — Lwów

Morfeusz i Bachus NA WYSTAWIE PARYSKIEJ



Paryż przeżywa okres wielkiej cudzoziemskiej inwazji. Chwilami wydaje się, że jest to miasto wielojęzyczne, w którem Francuzi stanowią znikomą mniejszość. Tak — przecież Paryż to stolica świata...

A może to nawet wizja przyszłości, jaka czeka wyludniającą się Francję? Wszak ten kraj bez mniejszości narodowej — ma już dziś poważny odsetek ludności obcej. Około trzech miljonów cudzoziemców mieszka stale i pracuje we Francji. Napływ obcych emigrantów jedynie wyrównuje ustawiczny spadek ludności we Francji, gdzie ilość narodzin jest mniejsza, niż śmiertelność.

Kiedyś w przyszłości będzie Paryż naprawdę takiem miastem, jakiem jest obecnie w czasie wystawy światowej. Francuzów sprzedawać się będzie w... aptekach, bo będzie ich tylu — jak na lekarstwo.

Przeglądając statystykę ludnościową Francji — jako szczerzy przyjaciele tego miłego, wesołego i zapobiegliwego narodu— wołamy: „Źle się panowie bawicie“.. Bawić się można, ale trzeba umieć pogodzić przyjemne z pożytecznem... Zapobiegliwość jest piękną cnotą, ale są pewne granice“...

Francuzi w swem wielkiem lenistwie przypominają mi bogatych Amerykanów, którzy adoptują dzieci. Przychodzą już do gotowego... Tak samo Francuzi całą dbałość o przyrost naturalny zwalają dziś na obcych przybyszów.



Powyżej: I obsługa nowoczesnych riksz, używanych na wystawie, odpoczywa w w skwarne południe...

Poniżej: Makieta w Pawilonie Turystycznym, przedstawiająca piękny krajobraz, zachęca do posiłku na »łonie natury«...



Francuz lubi wygodę. A w domach, w których jest dużo dzieci, trzeba zrezygnować często z wygód na rzecz młodego pokolenia.

Idziemy na wystawę — wśród interesujących pawilonów, wśród ciekawych eksponatów widzimy wszędzie — ludzi posilających się. Francuz lubi jeść. Podziwia piękne dzieła sztuki, interesuje się wykresami, ale w pewnym momencie przypomina mu się, że jest już głodny... Wtedy świat przestaje dla niego istnieć...



Polak, gdy jest głodny — jest zły. Rosjanin, gdy jest głodny zaczyna wymyślać na Sowiety, jako praźródło wszelkiego głodu. Szkot, gdy czuje głód — zaczyna obliczać, ile zaoszczędzi, jeśli przezwycięży głód, Amerykanin zabiera się do pracy i zapomina o głodzie.

Natomiast wiecie, co robi Francuz, gdy jest głodny?

Poprostu zabiera się do jedzenia.

I dlatego na wystawie widzimy tylu ludzi, którzy uważają za najważniejszy obowiązek pokrzepić swe nadwątlone siły potężnym sandwichem, przezornie zabranym z domu.

Francuz lubi jeść. Uczynił z tego sztukę i spogląda z pogardą na inne narody — barbarzyńskie w jego mniemaniu, które jedzą, aby żyć. Francuz przeważnie żyje, aby jeść.

Na wschód od granic francuskich rozciągają się Niemcy. Kraj wielkiego przyrostu naturalnego, kraj bardzo głodny. Niemcy z zazdrością spoglądają na Francuzów, jedzących dobrze. Kuchnia niemiecka staje się coraz bardziej skąpa.

To też nic dziwnego, że dziennikarz niemiecki i fotoreporter berliński zwiedzając wystawę — patrzą przedewszystkiem na ludzi — zajadających z apetytem.



A musimy sobie uprzytomnić, że jest to obrazek coraz rzadszy w Europie — obywatel niemiecki, sowiecki czy z Hiszpanji czerwonej musi coraz bardziej zaciskać pasa.

O pobycie Niemca w Paryżu słyszałem następującą anegdotę:

W hotelu przy śniadaniu podano Niemcowi masło. Turysta zjadł masło — i bardzo mu smakowało.

Na to kelner zwraca mu uwagę.

— A nam się zdawało, że wy wolicie armaty niż masło.

Wówczas Niemiec odpowiedział:

— Gdyby mi pan dał do wyboru na śniadanie masło czy armatę, napewno wybrałbym armatę, ale trudno — nie miałem wyboru... więc musiałem zjeść masło.

Na prawo: Na schodach greckiej świątyni przegląda się »wygodnie« prasę codzienną...





Francuz naogół nie lubi wyrzeczeń. Ani na rzecz dzieci, ani na rzecz armat. Dlatego ma mało dzieci. — Czyżby w ten sposób chciał wygłodzić zachłanne armaty niemieckie?

Przeciętny Francuz nie korzysta z lokali rozrywkowych przeznaczonych dla cudzoziemców. Idzie wcześnie spać, a odwiedza wyłącznie swe kina i teatrzyki dzielnicowe.

Francuz lubi spać... Na szerokiem wygodnem łóżku, mając miłe sny...

No i mając miłe przebudzenia... Francuz nie lubi spać sam... Już sama myśl, że będzie spał sam — spędza mu sen z oczu.

To też na wystawie obok ludzi zajadających się — widzimy ludzi śpiących snem smacznym i sprawiedliwym. Na ławkach, krzesłach, w cieniu rzeźb, ludzie chrapią w najlepsze.

A jednocześnie odbywa się poszukiwanie





W cieniu tej statuy można się choć na chwilę zdrzemnąć...



Na lewo: Już po zwiedzeniu pięciu pawilonów niejeden zasypia w wygodnych fotelach czytelni...

towarzyszek dolce far niente. Widzimy gromady mężczyzn rozmaitego wieku, którzy z minami zdobywców dokonują przeglądu pięknych kobiet na wystawie.

Znajomości nawiązuje się łatwo. Piękne i miłe dziewczęta wiedzą, że życie jest krótkie, a na starość dobrze jest mieć pokaźny album romantycznych wspomnień przeszłości...

Ostatecznie miło jest pójść z kulturalnym, lekko szpakowatym panem na obiad do dobrej restauracji, odetchnąć atmosferą zbytku i przejechać się wygodną limuzyną.

Nie należy sobie nawzajem utrudniać życia... To jest piękna dewiza Francuzów, nienawidzących totalizmów, dyscypliny, rygoru, kwakierstwa, purytanizmu.

Francuzi umieją ż y ć, a przedewszystkiem lubią żyć. Umieją też umierać — ale uważają to za ostateczność, a nie za cel życia...

L u b i ą bardzo swój Paryż, czują się tu dobrze — jest on dla nich całym światem. — Dlatego tak źle znają tę „gorszą połowę“ ś w i a t a, która jest poza Paryżem...



Na prawo: Każdy na swój sposób spożywa dejeuner na Wystawie...



Złe zwyczaje z tego gorszego świata przez pewien czas niepokoiły Paryż. Przyszły dni strajków, kiedy regularny tryb życia przeciętnego Francuza doznał pewnego wstrząsu.

Jednakże Francja jest krajem równowagi. Zbytnie przechylenie czy to na lewo czy na prawo — nie odpowiada usposobieniu obywatela francuskiego. — Dlatego dziś przyszło uspokojenie. Wystawę jakoś się wykończyło... Turyści obcy dopisali — to też można spokojnie spać...

Morfeusz kołysze w swych ramionach Francuzów, mających oddech spokojny, a sny bynajmniej nie koszmarne...

Długość życia przeciętnego Francuza jest bardzo wielka. Jak widać, ów duński lekarz, który w naczelnym organie hitlerowskim dowodził, że jedzenie właściwie szkodzi zdrowiu — nie miał racji.

Morfeusz i Bachus mają we Francji kadry rozsądnych, licznych zwolenników, którzy jednak że we wszystkiem co czynią umieją zachować umiar...

Z. G.





KRÓLOWA KLASYCZNEGO TAŃCA

Ósmego września minęło 10 lat od chwili tragicznej śmierci wielkiej artystki, mistrzyni tańca klasycznego. Jej niespodziewany zgon w r. 1927 pogrążył w wielkim smutku wielbicieli jej szczerego i ogromnego talentu.

Tragiczny zgon wielkiej artystki to jakby epilog jej 12-letniej męki moralnej, jaką przechodziła od chwili również tragicznej śmierci jej dwojga, nad wszysko ukochanych, dzieci: córeczki i synka. Zginęły i one również w wypadku samochodowym.

Tych kilka wiadomości podała przed 10 laty prasa codzienna. Bliższe szczegóły z życia Izadory Duncan nie były wszystkim znane. Ogłoszone „Pamiętniki", jakie pozostawiła, a w których opisała swe życie do roku 1921, a więc na 6 lat przed śmiercią, pozwalają nam poznać bliżej sylwetkę duchową tej wielkiej artystki, niezwykłej kobiety i matki.

Dwie bowiem rzeczy szczególnie uderzają czytelnika „Pamiętników" Izadory Duncan: umiłowanie sztuki tanecznej i pojmowanej jako tajemnicze misterjum uzewnętrzniania wszelkich przeżyć i uczuć duchowych, oraz ślepa namiętność macierzyńska, która jej, artystce-tancerce, kazała znosić wszystkie trudy i męki, cierpienia i bóle, by dać życie dwom istotom, tak bardzo przez nią ukochanym: małej Deridzie i Patrickowi.

Od chwili ich tragicznej śmierci na życie Izadory Duncan padł jakby cmentarny cień. Ciągłe halucynacje i urojenia, przeżywanie po raz setny i tysiączny szczegółów ich zgonu i pogrzebu, przyprawiały Izadorę Duncan niemal o szaleństwo; rozpacz jej była tak wielka, że kilkakrotnie znajdowała się o krok od samobójstwa; gdy wreszcie dzięki sztuce i uczuciu wróciła do względnej równowagi psychicznej, talent jej wzbogacił się o dawniej nieznane akcenty tragizmu.

Taniec jej wykonywany przy dźwiękach marsza pogrzebowego Chopina pozostawiał niezatarte nigdy wrażenie na widzach. Realizm symbolicznych gestów i ruchów przyprawiał o drżenie nerwowe słabszych widzów. Klasyczny taniec artystki do końca jej życia posiadał te elementy tragiczne, których odrzucić ani nie mogła ani już nie chciała. A przecież przedtem jej życie i sztuka, która, według własnych jej słów, tegoż życia była odbiciem i uzewnętrznieniem, nie były tak dramatyczne.

Przyszła na świat w Ameryce. Dziadkowie jej byli emigrantami irlandzkimi. Już od dzieciństwa niemal zetknęła się osobiście z nędzą, głodem i chłodem. Ciężkie warunki materjalne, w jakich chowała matka (rozwiedziona) ją i jej troje rodzeństwa, nauczyły utalentowaną już w dzieciństwie Izadorę tej niezbitej prawdy, że praca, śmiałość i odwaga, energja i wytrwałość to są jedyne atuty, któremi się wygrywa niesłychanie trudną partję, jaką jest życie.

Od dziecka też zabrała się do pracy nad kształceniem swego talentu i zabezpieczeniem bytu swej rodzinie. Pełna inicjatywy i energji już w 7 roku życia gromadziła dzieci z ulicy i uczyła ich rytmicznych ruchów, przy dźwiękach muzyki klasycznej. Matka Izadory, dobra pianistka, nauczycielka muzyki, w rozwoju karjery artystycznej i tanecznej córki położyła wiele zasług; artystka w „Pamiętnikach" swych poświęca jej dużo ciepłych słów. Naogół jednak Izadora uczyła się sama, rozczytując się w literaturze klasycznej. Utwory greckich tragików, Szekspir, Byron — oto jej i całej rodziny codzienna lektura. Matka grała, dzieci deklamowały, Izadora tańczyła. W taki sposób zorganizowała się rodzinna trupa aktorska, w której rej wodziła Izadora.

Wnet młoda artystka wyruszyła na „podbój Europy". Egzaltowana dusza jej pragnęła zjednać dla swych haseł i ideałów artystycznych cały świat kulturalny. Izadora zdawała sobie sprawę, że jej plany i zamierzenia artystyczne były, jak na owe czasy czemś wprost rewolucyjnem, ale nie traciła odwagi i nadziei. Wierzyła, że zrealizuje swój program artystyczny.

A jakiż to był program? Przedewszystkiem nie znosiła ona pantominy i baletu, choć o wielkich talentach z tej dziedziny choreogafji, jak o Krzesińskiej, czy Pawłowej wyrażała się z największem uznaniem. Jej ideałem była czysta sztuka klasyczna — taniec, oparty na wzorach staro-greckich. Jedynemi akcesorjami jej tańca, to zasłona błękitna spływająca w miękkich fałdach do podłogi prosta grecka tunika, z cieplejszego woalu zimą, z jedwabiu latem, bose nogi (rewelacja wtedy niesłychana) i dźwięki muzyki, przy których wykonywała swe misterja taneczne. Oto wszystko. Żadnej biżuterji, żadnych innych kostjumów — prostota i piękno klasyczne. Tem właśnie porywała tłumy i budziła entuzjazm dla swej sztuki.

Klasycznemu kierunkowi w tańcu nie sprzeniewierzyła się nigdy, odrzucając nawet najponętniejsze propozycje kierowników baletu czy music-hallów. Jest to tem znamienniejsze, że te decydująco odmowne odpowiedzi dawała Izadora protektorom „podkasanej muzy" wtedy, gdy sama z rodzeństwem nie miała co do ust włożyć. Nie uległa namowom i ponętnym obietnicom, z jakimś dziwnym uporem i zapamiętaniem, torując drogę swym własnym ideałom artystycznym.

Gdy życie stawało się ciężkie, nieznośne, a zwykły głód dawał się odczuć — uciekała Izadora z bratem swym do Luwru. Tam zasłuchana w rytmiczne skandowanie poezji greckiej przez brata — zapatrzona w klasyczne piękno ruchów, zakutych w rzeźby i posągi — snuła swe przepiękne improwizacje taneczne.

Sława nie dała długo na siebie czekać. Początkowo nieufna i zdetonowana publiczność europejska wnet zrozumiała i doceniła talent „bosonogiej tancerki"; oklaski, entuzjazm, pochlebne krytyki towarzyszyły jej triumfalnemu pochodowi przez sceny Europy i Ameryki. Nieliczne ujemne oceny musiały oczywiście mieć miejsce, ale rezolutna a pełna radości Izadora nie przejmowała się niemi zbytnio. Już jako młodziutka dziewczyna przestała zwracać uwagę na sarkastycznie nastrojonych krytyków i wątrobowo-śledzieniowatych recenzentów. Podziw i uznanie entuzjastów jej talentu były bodźcem do dalszej pracy nad sobą, a pieszczoty ukochanych dzieci, widok tańczącej maleńkiej Deridy stanowiły dla niej najlepszą podnietę życiową.

Izadora bowiem żyła dla sztuki i dla dzieci. Marząc o zorganizowaniu własnego zespołu, utworzyła rodzaj „szkoły", do której przyjęła sporą ilość dzieci, adoptując je i przejmując wszelkie nad niemi obowiązki i trudy wychowania. W projekt ten włożyła nietylko dużo zapału i entuzjazmu, ale i wiele pieniędzy. Ale gdy kapitały znajdowały się na wyczerpaniu, Izadora urządzała „tournée" i znowuż na jakiś czas zasilała kasę swej „szkoły". Z właściwą bowiem wszystkim artystom nonszalancją nie przywiązywała wagi do pieniędzy. Raz opływała w dostatki, to znów znajdowała się na skraju nędzy, by po pewnym czasie zdobywszy z występów większe sumy, wielkodusznym gestem wyrzucać garściami pieniądze na, zdawałoby się, ekstrawaganckie pomysły.

Do takich należał projekt założenia w Grecji własnego teatru, opartego na wzorach staro-greckich, w którymby ona na tle własnego zespołu tanecznego i chóru, niby w tragedjach greckich wykonywała swe przepiękne utwory taneczne. I znowuż masę pieniędzy włożyła Izadora na zakupno gruntu zaczęcie budowy; zorganizowała specjalny chór chłopców greckich, który przywieziony potem do Berlina, skompromitował się i odesłany został przez mistrzynię spowrotem do Grecji. Gdy po tych kolosalnych wydatkach znalazła się artystka w kłopotach materjalnych, słynna już wówczas na obu półkulach „szkoła Izadory Duncan" zbierała za oceanem oklaski i pieniądze.

Sama artystka zaś, jak to wspomnieliśmy, przechodziła blaski i cienie swej karjery. Ameryka Północna i Południowa, Paryż, Londyn, Szwajcarja, Berlin, Moskwa, festiwale wagnerowskie — oto poszczególne etapy jej artystycznej włóczęgi.

Stykała się Izadora Duncan z całym szeregiem znakomitości ówczesnych. Może zbyt subjektywnie, ale ciekawie i interesująco, kilkoma pociągnięciami swego inteligentnego pióra odmalowała w swych „Pamiętnikach" sylwetki d'Annunzia, Eleonory Duse, Krzesińskiej, Pawłowej, Stanisławskiego, oraz wielu wybitnych jednostek ze świata artystycznego i politycznego. Miała Izadora Duncan wśród nich wielu entuzjastów swej sztuki, przyjaciół swego nieprzeciętnego talentu i protektorów założonej przez nią „szkoły".

W „Pamiętnikach" daje znakomita artystka wyraz swym sympatjom i antypatjom, uczuciom, myślom, pragnieniom i planom najrozmaitszym. Opowiada o swem życiu szczerze i poprostu, bez pozy czy patosu, czasem namiętnie i z uniesieniem, właściwem wszystkim egzaltowanym duszom artystów, czasem spokojnie, trzeźwo, jak człowiek pracy, nawykły do walki o byt, czasem zaś i to zwłaszcza po tragicznej śmierci dzieci, z bólem serdecznym, jak każda czuła matka, którą zły los pozbawił najpiękniejszego celu życia. Nie wyczuwa się w tych „Pamiętnikach" teatralnej afektacji. Przebija z nich natomiast sylwetka kobiety inteligentnej, myślącej, subtelnej, odsłania się przed nami świat myśli i uczuć naprawdę wielkiej artystki i niezwykłego człowieka

Mgr. Helena Bartoszek.
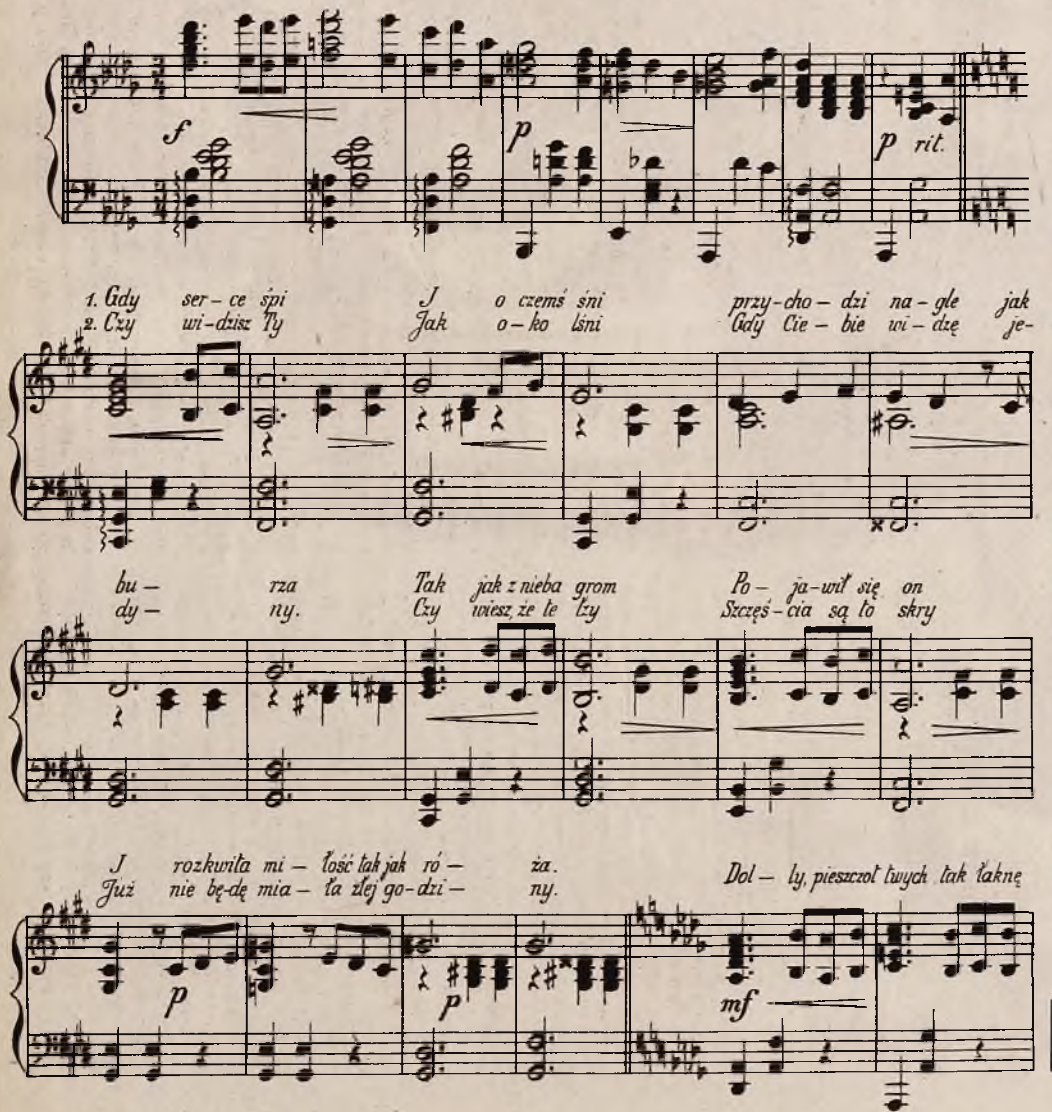


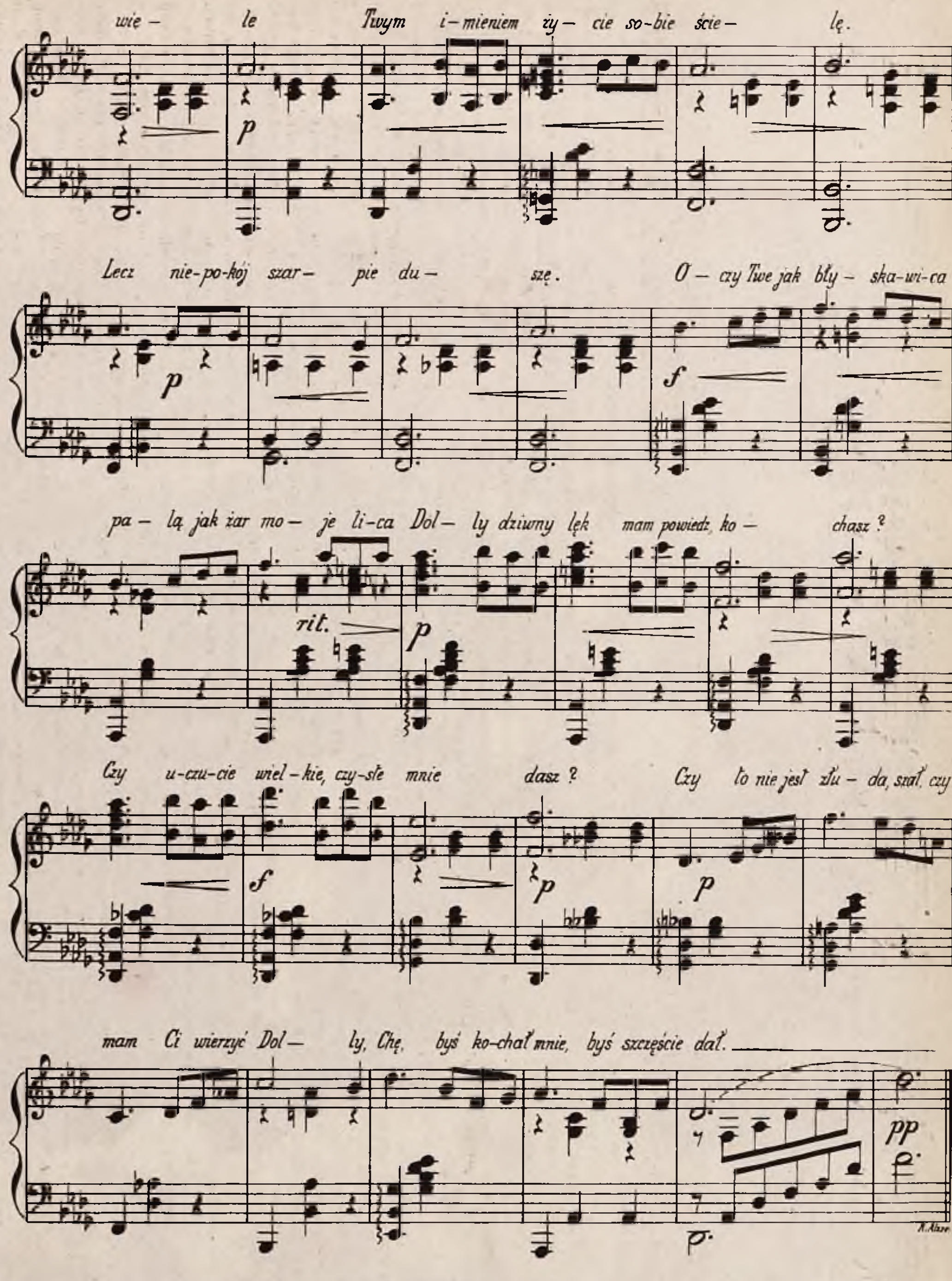
DOLLY

WALC ANGIELSKI

Słowa:
WIKTOR MOŚCICKI

Muzyka:
HELENA KARASIŃSKA





ZAGADKA CZERWCOWEJ NOCY

WANDA DE RICHE **OPOWIADANIE**

Groźne przesilenie gabinetowe i dwa ciekawe procesy, toczące się w Warszawie i w Poznaniu, sprawiły, że tylko garść ludzi zainteresowała się wówczas dwuznacznemi komentarzami władz administracyjnych, odnośnie do wydarzeń, których ofiarą padły w Krakowie trzy osoby i pies w ciągu trzynastu godzin pamiętnego dnia czerwcowego 1929 r., ściśle biorąc, od wpół do szóstej po południu w poniedziałek do kwadrans na siódmą we wtorek, kiedy mieszkanie śp. Serapisowej było zupełnie odcięte od świata. A i z tych ludzi nikt może, poza wtajemniczonymi, nie domyślał się nawet, że w domu zmarłej na Dębnikach rozegrał się dziwny dramat, którego przyczyny i tło pozostały niewyjaśnione, jakkolwiek przebieg jego znany był czynnikom powołanym od pierwszej chwili i to w najdrobniejszych szczegółach. Dziś, kiedy owe fakty zatarły się w pamięci zainteresowanych, a powody, skłaniające do zatuszowania sprawy straciły na aktualności, uważam za wskazane opisać wydarzenie to, wstrzymując się od wszelkich uwag, któreby mogły podać w wątpliwość zeznania pozostałych przy życiu świadków. Pominąwszy liczącą dziś dziewiąty rok życia Janię Kacperównę, która w owym czasie była dzieckiem przy piersi, wchodzą tu w grę przedewszystkiem dwie osoby, to jest jej matka Stefanja, dawna służąca Serapisowej oraz sprzedawca mleka, Jakób Cąber, zamieszkały przy ulicy Na Stawach. Rozmawiałam z nimi kilkakrotnie i jestem przekonany, że zeznania ich polegały na prawdzie. Zgadzają się one najzupełnej z orzeczeniem lekarza, który dokonał sekcji zwłok Serapisowej oraz z urzędowym raportem posterunkowego, wezwanego wczesnym rankiem na miejsce wypadku. W piśmie tego ostatniego znajduje się ciekawa wzmianka o znalezieniu szkieletu psa, zaopatrzonego w metalową obrożę z napisem „Justyn" — szkieletu, na którym widniały szczątki mięśni i więzadeł, usuniętych świeżo w sposób trudny do określenia. Jeśli porównamy świadectwa sąsiadów, którzy owczarka Serapisowej widzieli jeszcze na dzień przed znalezieniem jego kości z opowiadaniem służącej staruszki i wspomnianemi już pismami urzędowemi, musimy przyjść do przekonania, że fakty, tłumaczące zgon obojga zaliczyćby należało do rzędu tych wyjątkowych i niezwykłych wydarzeń, które dowodzą ciągłej zależności człowieka od praw względnie wybryków natury, urągającej stale wszelkim wysiłkom cywilizacji.

Dom Serapisowej, składający się z kuchni, izby mieszkalnej i pomieszczenia, służącego dawniej za oborę, leżał w ogrodzie, oddzielonym od ścieżki, wiodącej na brzeg Wisły, gęstwiną krzaków bzu, jaśminu i dzikiej leszczyny. Od strony rzeki wznosił się stary płot drewniany, poza którym teren opadał stromo ku wodzie i szerokiemu wylotowi kanału. Z drugiej strony leżały nieuprawione pola i usypiska na dawnych bagnach. Wobec tego, że najbliższe zagrody znajdowały się dopiero w odległości jakich trzystu metrów, a siedziba Serapisowej otoczona była samemi nieużytkami, rzadko kto zaglądał do jej domu. Szesnastoletni wyrostek, który przynosił codzień mleko i listonosz z pieniężnym przekazem, zjawiający się raz na miesiąc, byli właściwie jedynymi gośćmi staruszki. Gospodarstwo, które Serapisowa prowadziła ze swą sługą Stefanją Kacperową z skromnych zasiłków wnuka, bawiącego gdzieś na Pomorzu, zaledwie zasługiwało na tę nazwę. Drobna, trzęsąca się staruszka z wysuniętą naprzód śmiesznie brodą i jej służąca niewiele potrzebowały dla siebie. Tę ostatnią Serapisowa przygarnęła niedawno wraz z dzieckiem, której ojciec znikł nagle bez wieści. Obie pędziły żywot cichy i skromny, nie szukając towarzystwa. Należały do rzędu tych istot, które nie budzą ani gniewu, ani współczucia i które nie stanowią dla nikogo przedmiotu zainteresowania. Wiedziano, że żyją w maleńkim domku nad rzeką — to wszystko. Wegetował z niemi i pies owczarek, zwany „Justynem", chociaż wrodzona mu przedsiębiorczość i ostre zęby sprawiały, że miewał jaśniejsze chwile w swem życiu, niż jego opiekunki.

W ów pamiętny poniedziałek czerwcowy Serapisowa, jej służąca wraz z dzieckiem i pies znajdowali się w domu. Nic nie zdradzało grożącego im niebezpieczeństwa. Justyn wygrzewał się przed piecem w kuchni, czekając na strawę. Było już po piątej. Staruszka, która czuła się zmęczona, drzemała na łóżku w swej izdebce. Dziecko spało w kołysce, a jego matka krzątała się przy rondlach.

W pewnej chwili wydało się Kacperowej, że słyszy cichy pisk na ścieżce przed domem. Może nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby nie pies, który zerwał się na równe nogi, strzygąc uszami. Pisk odezwał się znowu, nieco bliżej. Podeszła do drzwi, wiodących do sionki, a stąd na podwórze i otworzyła je. Justyn wysunął się naprzód, warcząc zcicha. I wtedy w jasnem świetle słonecznem ujrzała, prawie na progu domu, trzy duże szczury, zmierzające w jej stronę. Cofnęły się, widząc psa, ale nie uciekły. Ku wielkiemu zdumieniu kobiety, Justyn nie rzucił się na intruzów, ale przystanął, zaniepokojony. Spojrzała na podwórze i z piersi jej wyrwał się okrzyk zgrozy i wstrętu. Widok był zaiste niezwykły. Dziesiątki, setki, nieprzeliczone mnóstwo szczurów sunęło przez trawę ogrodu i chodnik ku domowi. Szły zwartemi kolumnami cicho, jakby ku jakiemuś określonemu celowi i tylko od czasu do czasu cichy pisk przewodników wyprawy dolatywał do uszu zdumionej kobiety. Niektóre z nich były rosłe i wielkie, inne wyjątkowo chude i drobne, inne znów wyróżniały się w gromadzie rudawą lub białą sierścią. Wszystkie robiły wrażenie podrażnionych, gniewnych i żądnych walki. To też, kiedy pies, nie mogąc zapanować nad swoim temperamentem, rzucił się na najbliższe szeregi szczurów, Stefka, jak później oświadczyła, doznała uczucia, że jest to wywołaniem nieszczęścia. I nie myliła się. Zwierzęta nie ulękły się zębów Justyna, ale zwarły się wokół niego i same przypuściły atak. Pies, otoczony przez setki rozwścieczonych szczurów, musiał natychmiast przejść do obrony. Walczył zapamiętale, chcąc utorować sobie drogę do domu z powrotem, ale wkrótce pokryła go ruchoma fala przeciwników. Przerażona kobieta rzuciła raz jeszcze okiem na Justyna, który zniknął w gromadzie szczurów i dygocąc na całem ciele, zamknęła drzwi od sieni. Na podworcu słychać jeszcze było przez pewien czas wycie psa, z każdą chwilą coraz cichsze i coraz żałośniejsze. Kiedy nastało milczenie, musiała oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Pies zginął, rozszarpany zębami napastników, których piski rozlegały się teraz pod samym domem.

Te dwie, czy trzy minuty grozy, które odebrały jej możność rozumowania i nie pozwoliły wydobyć głosu z piersi, pozostaną chyba na zawsze zmorą w życiu biednej Kacperowej. Przez pewien czas nie wiedziała poprostu, co począć. Niespodziewany najazd całej armji zwierząt, do których odnosiła się zawsze ze wstrętem, był czemś urągającem wszelkim prawom natury. Jeszcze niedawno panował tu zupełny spokój. Jeszcze przed chwilą czuła się zupełnie pewna i bezpieczna. Czyżby to było możliwe? Skąd wzięły się te nieprzeliczone gromady gniewnych stworzeń, otaczających teraz ich domostwo?

W kołysce zaczęło płakać dziecko i wtedy zbudził się w niej instynkt macierzyński. — Pobiegła do okna, wychodzącego na ogród. Mniejsze i większe grupki szczurów uwijały się na trawniku, ale były to tylko jakby forpoczty głównej armji, która obrała inny kierunek. Zamknęła okno i odetchnęła z ulgą, przypomniawszy sobie, że drzwi od sieni przylegają szczelnie do progu i że w świeżo poprawionem podmurowaniu niema żadnych otworów. Izba Serapisowej posiadała tylko jedno okno, stale zaryglowane. Między mieszkalną częścią domu, a małą oborą, w której staruszka trzymała dawniej krowę i którą obecnie przeznaczyła na skład najrozmaitszych rupieci, nie było żadnego połączenia. Praktycznie rzecz biorąc, przebywającym w domu kobietom nie groziło po zamknięciu drzwi i okien żadne niebezpieczeństwo. Były jednak odcięte od świata, a położenie domostwa, zakrytego przez drzewa i krzewy i leżącego w pewnej odległości od siedzib ludzkich, sprawiało, że nie mogły liczyć na żadną pomoc z zewnątrz. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Strach i niepokój, który opanował kobietę po epizodzie z psem, pozostawionym jego losowi, nakazały jej zaraz szukać oparcia w jedynej towarzyszce. Wpadła, drżąc na całem ciele, do izby Serapisowej. Staruszka otworzyła oczy i przeciągnęła się leniwie.

— Szczury, proszę pani! — zawołała Stefka. — Całe masy szczurów!

— Szczury — rzekła Serapisowa tonem obojętnym. — Włóczy się ich tu pełno. Wychodzą z kanału... Cóż stąd?

— Ależ tam ich jest tysiące! — zawołała służąca. — Zjadły nam Justyna.

— Głupia! — mruknęła stara. — Troi ci się w oczach.

Serapisowa usiadła na łóżku, spojrzała w okno i osłupiała ze zdziwienia. Ścieżka i murawa przed domem roiły się od szczurów. Pod oknem widniały całe ich gromady. Na zwałach śmieci, na stosie drzewa, przeznaczonego na opał i na daszku piwnicy, sięgającym z jednej strony do ziemi, spacerowały szeregi najbardziej przedsiębiorczych okazów. Kilka wielkich szczurów kroczyło z powagą po desce, opartej o płot, tuż pod oknem. Ich czerwonawe, okrutne oczy, zaopatrzone pazurami odnóża i długie, nagie ogony, poruszające się nieznacznie, widać było

zupełnie wyraźnie. „Przodownik" podniósł wgórę nos i ściągnął wargi, wietrząc. Widocznie zauważył kobiety za oknem. Przez pewien czas zwierzę i obie mieszkanki domostwa spoglądali na siebie w milczeniu, ale nie trwało to długo. Stefka cofnęła się pod ścianę, a stara, zwlókłszy się z łóżka, porwała jakąś chustę i zasłoniła nią okno. — Stały teraz w mrocznej izbie, bezradne, bezsilne, zdumione i przerażone.

— Coś takiego... — szepnęła po chwili staruszka. — Tyle szczurów...

— Drzwi i okna zamknięte — rzekła służąca, jakby do siebie. — Ale mogą się tu dostać przez jakąś szczelinę. A jeśli się dostaną...

Wstrząsnęła się na samą myśl o tej ewentualności, gdyż widok psa, walczącego daremnie o życie stał jej dotąd przed oczyma.

Obie zaczęły krążyć, jak zamknięte w klatce zwierzęta, po izbie i kuchni, spoglądając od czasu do czasu przez okno na podwórze i ogród.

Szczury nie zdradzały obecnie żadnych wrogich zamiarów, ale kręciły się wokół domu całemi gromadami. Widocznie sam dom nie stanowił celu ich wędrówki a raczej przeszkodę, którą musiały ominąć. Leżał na ich drodze, to też oblegały go w swoim pochodzie, a zaciekawione lub podrażnione widokiem ludzi, podchodziły pod drzwi i okna. Ich piski i odgłosy drapania o ściany dolatywały niekiedy do uszu kobiet. W ten sposób minęły dwie lub trzy godziny.

Zbliżał się wieczór. Szczury buszowały po ogrodzie, napływając całemi gromadami od strony rzeki. Możnaby rzec, że wypłoszone z podziemi, piwnic i kanałów miasta, wyległy, decydując się społem na opuszczenie dotychczasowych siedzib, w których zagrażało im jakieś niebezpieczeństwo. — Chyba nie zostało wówczas w Krakowie ani jedno z tych stworzeń! — mówiła mi Stefka. — Nie ma pan pojęcia, jak to wyglądało...

Zdaje się, że o zmroku niepokój i przerażenie zamkniętych w domu kobiet doszły do szczytu. Siedziały teraz obie w kuchni, przy kołysce dziecięcia, zrezygnowane i przygotowane na najgorsze. Serapisowa mruczała coś pod nosem, a jej służąca spoglądała tępym wzrokiem przed siebie. Ktoś energiczniejszy i bardziej przedsiębiorczy pomyślałby o zwróceniu uwagi sąsiadów za pośrednictwem krzyków lub sygnałów. One wybrały taktykę przetrwania.

Nadszedł jednak moment, który nazwałbym najdramatyczniejszym w całej tej nieprawdopodobnej historji. Było to późnym wieczorem.

Każdy ze zwiedzających domostwo Serapisowej zauważyć może w kuchni jeszcze dziś wejście do piwnicy, przykryte ruchomemi drzwiami, otwierającemi się nakształt klapy. Drzwi te były w krytycznym dniu uchylone i oparte na drewnianym drążku. Schodki, wiodące do piwnicy, tonęły w mroku, jakkolwiek kobiety zdobyły się na zapalenie lampy, a tylko górne dwa stopnie widać było zupełnie wyraźnie. Sądzę, że z tej strony nie spodziewały się oblężone żadnego ataku, gdyż małe okienko do piwnicy zakryte było od zewnątrz cegłami. Zdaje się jednak, że myszkujące wszędzie szczury znalazły jakąś szczelinę między cegłami, a może po pewnym czasie usunęły którąś z nich na bok, dość, że udało się im wtargnąć do piwnicy.

Siedzącą w milczeniu Stefkę zbudził z odrętwienia przeraźliwy okrzyk. Brzmiał tak nieludzko i przebijała w nim tak straszna trwoga, że młoda kobieta zerwała się na równe nogi. Krzyk ten wyrwał się z piersi jej pani, która zauważyła na schodkach, wiodacych do piwnicy, kilka szczurów. Na szczęście w tej groźnej chwili, służąca znalazła dosyć sił, aby działać. Podbiegnięcie do ruchomych drzwi, odtrącenie podpierającego je drążka i zatrzaśnięcie klapy było dziełem jednej chwili.

— Wiedziałam, że jeszcze kilka sekund, a będziemy zgubione. Szczury wtargną do kuchni, rzucą się na nas i zagryzą... — opowiadała mi.

To, co się teraz stało, trwało zapewne bardzo krótko. Drzwi opadły, zamykając wejście do piwnicy, ale dwa duże szczury zdołały już przedostać się do kuchni. Przerażone trzaskiem zamykanej klapy, rzuciły się naoślep wprost przed siebie i wpadły na Serapisową. Staruszka podniosła ręce do szyi ruchem bezradnym, zachwiała się i z głuchym jękiem upadła na krzesło, a stąd na podłogę. Padła, jak kłoda i znieruchomiała. Służąca nie miała czasu spieszyć jej z pomocą. Chwyciła za leżące pod piecem grube polano i zaczęła uganiać za szczurami. Jednego zabiła odrazu celnem uderzeniem. Drugi wpadł na nią w chwili, kiedy pochyliła się nad zabitem zwierzęciem. Odtrąciła go ze wstrętem i wpędziła pod łóżko. Ukrył się gdzieś pod ścianą.

Dopiero teraz uklękła przy Serapisowej. Staruszka nie dawała znaku życia. Leżała z otwartemi oczyma, w których malowała się nieludzka groza. Jej drżące zazwyczaj wargi ściągnęły się i wykrzywiły, a bezzębne szczęki zacisnęły się i jakby cofnęły wgłąb. Stefka zrozumiała, że zabił ją przestrach na widok rzucających się na nią szczurów.

Oglądnęła się mimowoli, szukając wzrokiem pozostałego przy życiu intruza. Ale płacz dziecka, zbudzonego hałasem, odwrócił na chwilę jej uwagę od niewidocznego w danej chwili zwierzęcia. Powstała, wyjęła córeczkę z kołyski i zaczęła ją huśtać na rękach.

Mimo pozornego spokoju sytuacja była obecnie znacznie groźniejszą. Szczury znalazły dostęp do piwnicy i mogły stąd przedostać się do wnętrza domu przez szczeliny w podłodze. Stefka przypomniała sobie nagle, że pod łóżkiem jej pani widziała jeszcze przed dwoma dniami dużą szparę między deskami. Położyła dziecko do kołyski i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi do izby, oddając ją bez walki nieprzyjacielowi.

W kuchni czuła się znacznie pewniejszą. Uklękła przy kołysce, starając się uspokoić dziecię miarowem, łagodnem kołysaniem. Jej niespokojne oczy błądziły od okna do drzwi, od drzwi do leżącej na ziemi Serapisowej i do łóżka, pod którem słuchać było czasami chrobotanie się szczura. Wzdrygała się co chwila, słysząc podejrzane szmery wewnątrz domu i na podwórzu. Nie próbowała ich odróżniać, nie siliła się na dociekanie, skąd pochodzą... Resztkami sił starała się zapanować nad ubezwładniającą ją trwogą przez czemś nieznanem, a groźnem, jak sama śmierć.

Ciemności spowiły ogród i dom, a oblęgające go szczury przepadły w mroku. — Wróg, którego ruchów nie można było już obserwować przez okno, stał się teraz w przekonaniu samotnej kobiety podwójnie groźny. Lada chwila spodziewała się katastrofy. Mózg jej pracował gorączkowo, a wystraszone oczy szukały w każdym kąciku, pod meblami i pod piecem, przy drzwiach i na oknie, skradających się szczurów. Dziecko usnęło, ale Stefka nie śmiała ruszyć się z miejsca. Może sądziła, że zwierzęta o niej zapomną, a może lękała się, aby szczur ukryty pod łóżkiem nie zaczął znów uganiać po mieszkaniu. Nie wiadomo czemu, bała się tego szczura ogromnie. Był dla niej jakby symbolem klęski. I prawdę mówiąc, ani niezwykła jej sytuacja, ani własna bezsilność, ani widok trupa Serapisowej nie przyprawiały jej o taki strach, jak myśl o tem przyczajonem w kącie zwierzęciu. Mogła zdobyć się na energję wobec całej gromady szczurów, nie zapomniała o obronie w chwili, kiedy te ukazały się na schodach do piwnicy, ale pozostawiona sam na sam z tem jednem, małem, niewidocznem zwierzęciem traciła głowę.

W mdłem świetle lampy trwała w miejscu, nie śmiejąc nawet oddychać. Mijały długie godziny męczącego czuwania. Mimo, że nie działo się nic właściwie i że od chwili śmierci Serapisowej szczury jakby zrezygnowały z opanowania domostwa, siedziała przy kołysce, szepcąc zbielałemi wargami modlitwy. Byle nie zwracać na siebie uwagi! Byle nie drażnić zwierząt, których tajemnicza napaść przechodziła wszelkie jej pojęcie i zdawała się jej chwilami jakby dziełem szatana!

Świt zastał ją jeszcze w tej samej pozycji, może tylko bardziej wystraszoną, gdyż ośmielony ciszą szczur wyszedł z pod łóżka i zaczął przyglądać się kobiecie swemi czerwonawemi oczkami. Ale nie zdradzał wrogich zamiarów. Może przeczuwał, że znalazł się w pułapce? Zwierzę i kobieta obserwowali się teraz, ubezwładnieni przez lęk i niepokój. W kuchni robiło się coraz jaśniej i wreszcie przyszła chwila, kiedy światło lampy rozpłynęło się w promieniach wschodzącego słońca. Szczur wrócił znowu pod łóżko. Kobieta nabrała otuchy. Wyprostowała zdrętwiałe członki, rzuciła okiem na śpiące dziecię i podeszła do okna. Na podwórzu, na ścieżce i na murawie przed domem nie zauważyła żadnych śladów szczurów. Przesunęła ręką po czole, pytając się w duchu, czy nie śniła i czy cała ta straszna przygoda nie była majakiem chorej wyobraźni. Ale oczy jej spoczęły na trupie Serapisowej. Wzdrygnęła się mimowoli... I wtedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła je drżącemi rękoma. Na progu stanął mleczarz...

Mówił mi, że rysy jej twarzy były tak zmienione, a oczy wyrażały taki lęk, że zatrzymał się w drzwiach. Widok leżącej bez życia Serapisowej pouczył go jednak, że musiał rozegrać się tu jakiś dramat, a ciekawość przemogła w nim uczucie niepewności.

— Szczury? — zapytała kobieta. — Czy już poszły?

Spojrzał na nią, zdziwiony. W krótkich słowach opowiedziała mu, co się stało. — Przyglądał się jej uważnie, sądząc, że straciła zmysły i zapewne nigdy nie uwierzyłby w prawdziwość jej słów, gdyby nie drobny epizod. Szczur, który ukrywał się dotąd pod łóżkiem, skorzystał z zamieszania i instynktownie rzucił się pod nogi przybysza. Mleczarz uskoczył w bok, przestraszony niespodziewanym widokiem zwierzęcia, które przemknęło się między nim i drzwiami i przepadło w jakimś kącie podwórza. Stefka i mleczarz wybiegli za nim na ścieżkę. Złotawe promienie słońca oświecały ogród i całe otoczenie domostwa. Źdźbła trawy kołysały się pod lekkim wiatrem, dmącym od rzeki. Wszędzie panowała cisza i tylko z oddali dochodziło bicie zegara na kościelnej wieży. Kobieta rozglądała się przez chwilę na wszystkie strony. Armja szczurów zniknęła, jakby pochłonięta przez noc!

Oto nagie fakty, poparte świadectwami dwojga osób, które żyją do dnia dzisiejszego. Nie posądzam żadnej z nich o halucynację ani o umyślne kłamstwo dla sensacji. To ostatnie przypuszczenie upada chociażby dlatego, że o wypadkach przezemnie opisanych ogół nie dowiedział się nigdy, a tylko najbliżsi znajomi bohaterów tego niezwykłego zdarzenia powtarzali sobie na ucho opowieść Stefki, uśmiechając się pobłażliwie. Czy ktoś wierzył jej słowom? Czy ktoś zadał sobie trud sprawdzenia szczegółów przez nią podanych? Zapewne. Czynniki administracyjne nie mogły przejść do porządku dziennego nad zeznaniami świadków i dzielnicowego policjanta, ale uważam, że uważały je za mocno przesadzone. Najazd szczurów na dom mieszkalny — to brzmiałoby trochę śmiesznie. Nic też dziwnego, że właściwa przyczyna śmierci Serapisowej pozostała dla ogółu tajemnicą.

—o—



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XVIII.



Przy sztywnem zupełnie kolanie ćwiczymy mięśnie stopy, przeginając ją raz w lewo, to znów w prawo.

Każdy z nas wie, jak dotkliwie dają się we znaki nowe buciki jeszcze nie „rozchodzone“. Przyczyną tego bólu może być artretyzm, z powodu którego obrzmiewają i rozrastają się stopy, albo t. zw. płaska stopa, wreszcie słabe nogi o niewytrenowanych mięśniach. Poniżej opisane ćwiczenie ma zaradzić naszym cierpieniom.

Jeżeli nie czujemy się na siłach, możemy podczas tego ćwiczenia siedzieć, lecz lepiej jest stać prosto, wyprężyć jedną nogę jak na rycinie i wykonywać nią określone ruchy. Kolano powinno pozostać nieruchome. Najpierw zginamy stopę kilkakrotnie ku tyłowi i przodowi, następnie podnosimy nogę do kolana i opuszczamy ją. Wreszcie wykonujemy stopą i podudziem kilka ruchów krążących, wyprężamy mocno palce u nóg i kurczymy je.

Drugie ćwiczenie polega na tem, że ujmujemy stopę w dłoń i poruszamy nogą kilkakrotnie w tym samym kierunku, zginając ją silnie w kolanie. Następnie kładziemy się na lewym boku, podpieramy się lewym łokciem, zaś prawą ręką chwytamy lewą stopę. Wyginamy nogę silnie, wyciągając ją poza prawe ramię, aż kolano znajdzie się za głową. Ćwiczenie to wygląda nieco akrobatycznie, lecz nie jest takie trudne, jak się wydaje i świetnie uelastycznia ciało.



Podciągnąwszy nogę do tyłu ćwiczymy mięśnie stopy, skręcając ją z pomocą ręki.

Menu à la Bajan.

Znam pewnego lotnika, wielkiego oryginała, który uważa, że zastosowanie podczas rajdu swego menu do miejscowości, dzielnicy czy kraju, w jakich w danej chwili na krótko przebywa, niezawodnie przyniesie mu szczęście. Jak najwięcej „kolorytu lokalnego“ — oto jego hasło.

Zdarzyło się raz, że mój lotnik wziął udział w wielkim raidzie ponad dziesięcioma krajami Europy, zdobywając w tych zawodach nader zaszczytne miejsce.

— Przecież nie mogło być inaczej, opowiadał nam po powrocie. Start wypadł w Krakowie, gdzie na pierwsze śniadanie zjadłem ze smakiem talerz słynnej kaszki krakowskiej. Tego dnia musiałem przelecieć trasę Kraków—Toruń—Gdańsk—Wilno, lądując w tych miastach. Na drugie śniadanie zjadłem kilka wyśmienitych pierników toruńskich, przyniesionych mi na lotnisko przez przyjaciół. Starczyło mi jeszcze tej przyjemności na długą chwilę lotu, tak, że dogryzając ostatnią „Katarzynkę“ już lądowałem w Gdańsku. Pamiętacie, jak w „Panu Tadeuszu“ Mickiewicz opiewa przesławną wódkę gdańską, z niemiecka zwaną „goldwasserką“? Nie mogłem odmówić sobie, choć to i raid — łyknąłem parę kieliszków, by wzmocniony na ciele i duchu wystartować do Wilna. Gdy się zbliżałem do tamtejszego lotniska byłem już djabelnie głodny. Bądź co bądź było późno, a ja nic zasadniczego dotąd nie miałem w żołądku. Na szczęście okazało się, że gospodarze są również zwolennikami kolorytu lokalnego: przygotowali litewskie kołduny! Było tego mnóstwo, a że przyleciałem pierwszy, spałaszowałem ich coś sześćdziesiąt, zagryzając sporym kawałkiem sera litewskiego. W doskonałym humorze udałem się na zwiedzenie miasta, tembardziej, że słyszałem o znajdującym się tam meczecie. A gdzie meczet, tam i tatarska restauracja, myślałem sobie. No, i nie omyliło mnie przeczucie: Znalazłem maleńką, niepozorną restauracyjkę, gdzie skonsumowałem befsztyk po tatarsku posypany tureckim pieprzem. Lecz że kuchnia wszystkich mahometan jest podobna, ta sama restauracyjka polecała jako swą specjalność szaszłyk kaukaski, do którego kazałem sobie podać tatarskiego sosu. Popiłem to jedną filiżaneczką kawy tureckiej, oraz jeszcze jedną znakomitej arabskiej mokki.

Nazajutrz, skoro świt naczczo odleciałem do Zaleszczyk, gdzie zato zjadłem obfite śniadanie, składające się z ukraińskiego barszczu, prosięcia po rusku i kiści naszych przepysznych winogron podolskich. Po śniadaniu — odlot. Pierwszy punkt kontrolny: Morawska Ostrawa, gdzie oczywiście poczęstowano mnie knedlami po czesku. Drugi punkt: Budapeszt. Węgrom nawet do głowy nie przyszło, by mieli nas czem innem, jak gulaszem i kieliszkiem dobrego tokaju poczęstować. A że Węgrzy po nas Polakach to najgościnniejsza nacja na świecie, więc mi jeszcze przy odlocie do rąk wepchnęli potężne węgierskie salami i butelczynę poczciwego węgrzyna. Pojadałem to sobie i popijałem przez drogę, toteż we Wiedniu zjadłem już tylko skromną kolacyjkę: sznycel i białą kawę. Może to niebardzo dobrane smakiem, ale dla mnie miało to menu tę ogromną zaletę, że jedno i drugie było wiedeńskie. A pamiętajcie, że jestem pod tym względem przesądny.

Trzeci i ostatni dzień raidu był najcięższy. W Szwajcarji zjadłem wczesnym rankiem kawałek szwajcarskiego sera i odleciałem do Neapolu. Tam obiad: zupa i rizotto, wszystko neapolitańskie. Punkt kontrolny Rzym. Pieczeń porzymsku. Brr, obrzydliwość: poprostu zwyczajny, najzwyczajniejszy warszawski klops, widmo moich lat dziecinnych. Ostatni punkt kontrolny we Włoszech, to Genua. Tam niebardzo mi się udało: dostałem talerz włoskiej kapusty i kieliszek takiegoż kwaśnawego chianti. Potem szybki przelot nad Francją, Belgją i Holandją. Lądowania w Strasburgu (pasztet strasburski zapiekany w francuskiem cieście), w Brukseli (cóżby innego jak brukselka) i w Amsterdamie (kawałek holenderskiego sera). Skok nad morzem i oto Londyn. Na kolację piękny, potężny płat rostbeafu po angielsku, zakropiony szkockim whisky i irlandzkim ginem. Dla dokładności muszę dodać, że piliśmy też ciężkie wallijskie piwo. W ten sposób uzyskałem kulinarną syntezę całej Anglji.

— A zatem w trzy dni byłeś w szesnastu miastach, — przerwał menu lotnikowi jeden z obecnych — zjadłeś dwadzieścia pięć lokalnych specjalności, napiłeś się po trzy gatunk: kawy, wina i wódki. Ja nie jestem przesądny, alem zato wielki smakosz. Dziś jeszcze poinformuję się co do nauki pilotażu, a potem na własnym czy klubowym RWD będę się starał doścignąć, a może nawet i pobić twój oryginalny rekord.

— Co ci z łatwością przyjdzie... Jestem bowiem laikiem w dziedzinie gastronomji i zadawalałem się wszędzie najprostszemi, wszystkim znanemi potrawami, przyprawami i napojami.

Alicja Brun.

Życie

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

ŚLUB W POZNANIU.



Kronika towarzyska Poznania zanotowała ostatnio związek małżeński, jaki zawarty został pomiędzy p. Zofją Czaplanką, córką emeryt. radcy górniczego i jego żony z domu Ćwiklińskiej, a p. Jerzym Sławskim, synem naczelnego architekta P. W. K. Rogera Sławskiego i jego żony śp. Zofji z Arendtów. W uroczystości ślubnej, która odbyła się w kościele Serca Jezusowego na Jeżycach, prócz rodziny państwa młodych wzięło udział liczne grono przyjaciół obydwóch rodzin. Na zdjęciu: młoda para opuszcza kościół po ślubie. *Fot. „AS"*

W SŁOŃCU RIWIERY...



Znana z urody i wdzięku artystka scen warszawskich p. K. Skalska bawi na wywczasach w Juan les Pins na Riwierze, skąd przesyła pozdrowienia dla Czytelników „Asa".

SUKCESY BOROWSKIEGO.



Jeden z najwybitniejszych tancerzy polskich, Mieczysław Borowski, występuje z dużem powodzeniem w przedstawieniach opery „Colon" w Buenos Aires. Prasa tamtejsza rozpisuje się o naszym tancerzu w samych superlatywach, podnosząc wielki artyzm każdej jego kreacji, opartej na bardzo inteligentnej i przemyślanej koncepcji tanecznej. Nasze zdjęcie przedstawia Mieczysława Borowskiego wraz z jego partnerką Lidją Martinolli, primabaleriną teatru „Colon" w jednej ze scen baletowych opery „Mignon".

Z WILEŃSKIEJ „LUTNI"



Wileński teatr muzyczny „Lutnia" rozpoczął sezon wystawieniem operetki Falla „Róża ze Stambułu" z Marją Nochowicz (na zdjęciu) w partji tytułowej.

HALAMA I CZAPLICKI JADĄ DO AMERYKI



Fot. Halina Zalewska — Warszawa.

Z pieśnią i tańcem — po sławę i dolary wyjeżdża do Ameryki para znakomitych artystów Loda Halama, zwana „płomieniem tańca" i Jerzy Czaplicki, baryton warszawskiej Opery. Już dziś powiedzieć możemy, że zdobędą i jedno i drugie, bo pieśnią i tańcem zdobywa się świat. Cóż dopiero, gdy pieśń ta porywa potęgą brzmienia i złotem metalu, a taniec, to zawrotny splot kunsztu, żywiołowego temperamentu, humoru, fantazji. Czaplicki zaangażowany został na cały sezon do „City Opera" w Chicago i wystąpi w „Aidzie", „Manon", „Cyganerji" i „Carmen". Loda Halama w tym samym czasie da się poznać publiczności nowojorskiej na trzech samodzielnych recitalach tanecznych, poczem po ukończeniu stagione przez Czaplickiego wyjedzie razem z nim na tournée po większych miastach Ameryki. — **Na lewo:** Loda Halama w jednej ze swych kreacyj tanecznych. — **Na prawo:** Jerzy Czaplicki jako torreador w „Carmen".



Fot. Van Dyck — Warszawa.

Wchodzimy w okres jesiennej mody



Niełatwe to zadanie dla sprawozdawcy mody kobiecej, gdy z początkiem nowego sezonu ma podać czytelniczkom w ramach krótkiego artykułu całą jej charakterystykę, jej najistotniejsze cechy. Moda jest zjawiskiem złożonem na ogólny jej wyraz i typ składa się zarówno rysunek sylwetki, jak materjał, barwa, ozdoby i przybrania, a jakże trudno zebrać to wszystko w krótkich słowach! A wiadomo, że niecierpliwe czytelniczki „Asa" jużby chciały wiedzieć wszystko o najnowszej modzie, poznać jej wszystkie kaprysy i niespodzianki, jednem słowem, jej prawdziwe oblicze.

Jeden z wielkich paryskich twórców mody powiedział, że ogólny styl i charakter mody wyraża najlepiej kapelusz. „Pokaż mi jaki masz kapelusz, a powiem, czy jesteś modnie i dobrze ubraną". Dzisiejsze kapelusze zawierają w sobie rzeczywiście wszystko to, czem chlubić się będzie pani moda w nadchodzącym sezonie: czystość i precyzję linji i fantazję, rozmaitość i bogactwo pomysłów, elementy stylowe z dawnych epok skombinowane umiejętnie z najbardziej nowoczesnem ujęciem. Każda główka kobieca znajduje naj- twarzowszą oprawę dla swej urody, gdyż moda dzisiejsza daleką jest od wszelkiej tyranji i liczy się z różnorodnością typów kobiecych. Modne są kapelusze o dużych, fantazyjnie wygiętych rondach, często tworzących wysoką aureolę nad śmiało odsłoniętem czołem, jak również małe, miękko zdrapowane toczki i turbany, płaskie czapeczki zwane pluskami i wysokie, stożkowate kołpaki, czy hełmy. Miękkie welurowe i cieniutkie podatne filce antylopowe pozwalają się giąć i miąć, marszczyć i upinać dowolnie, a zręczne, możnaby powiedzieć czarodziejskie ręce modniarek korzystają obficie z tych właściwości nowych materjałów. Takiej rozmaitości nie widzieliśmy dawno. A cóż dopiero powiedzieć o przybraniach? Wróciły do łask pióra strusie i pyszne, przedwojenną tradycją pyszniące się rajery, które zdobić będą w tym roku stropne i wyrafinowane wieczorowe kapelusiki. Leciutkie wualki o subtelnych wzorach starych koronek pokryją piękne twarzyczki tajemniczą osłoną. Wuale te, coraz śmielsze i dłuższe, można nosić w najrozmaitszy sposób: opuszczone na twarz, a z tyłu podpięte, powiewające swobodnie naokoło główki, spływające z tyłu lekką kaskadą, wreszcie upięte zgrabnie na samej tylko główce, której surową linję zmiękczają i ożywiają zarazem. Równie modnemi przybraniami będą jeszcze ciągle upięcia i kokardy z wstążki, pompony z piórek lub futra, ozdobne lamry, szpilki i spięcia.





Na prawo: Elegancki kostjum sportowy z guzikami i paskiem ze skóry — na przedpołudniowe jesienne spacery.

Na lewo: Czarny płaszcz z prążkowanej wełny, ozdobiony oryginalnym kołnierzem z popielic.



Poniżej w kole: Oryginalny toczek z filcu, stosowny do sportowego p'aszcza lub kostjumu.





Jesienne okrycia charakteryzują dwie sylwetki, zasadniczo różniące się linją i krojem. Pierwsza to wąskie i przylegające do figury niemal jak futerał do parasola, tzw. w Paryżu „manteaux-tubes", druga rozszerzająca się w śmiałe klosze, podkreślone szerokiemi obkładami z futra, które w tym roku tem się odznacza, że pojawia się najczęściej tam, gdzie się go najmniej należałoby spodziewać. A więc dołem płaszcza, na kieszeniach i paskach, wąskim paskiem otaczającym biodra, szerokiemi szlakami biegnącemi przez całe plecy z góry na dół, a nawet na ramionach w postaci epoletów.

Suknie popołudniowe przeżywają prawdziwy renesans. Na miejsce nieco monotonnych i zbyt prostych „petites robes", zobaczymy prawdziwe arcydzieła wyrafinowanej elegancji pod hasłem: „pozorna prostota, przy wystudjowanej linji". Wszystkie one odznaczają się tem, że dążą konsekwentnie do uwydatnienia i podkreślenia kształtów, zapomocą kunsztownych przymarszczeń i zdrapowań, opinających figurę niemalże jak kąpielowy kostjum. Przybrań niewiele, gdyż cały nacisk położony jest na linję. Materjały tegoroczne olśniewają poprostu doskonałością techniki, różnorodnością gatunków i barw. Wełny miękkie i lśniące w rodzaju dawnego sukna, puszyste, angorowe i wszystkie typy „fasonné" o wypukłych deseniach prążków, kratek i pasów, przybierają najsubtelniejsze, pastelowe odcienie „vert armure", stalowo-niebieskie, śliwkowe i w odcieniu parmeńskich fiołków. Jedwabie wykazują podobne bogactwo gatunków: począwszy od matowych krep, podobnych do wełny, aż po lśniące „satin" i przetykane metalowemi nitkami gazy i krepy. Aksamit króluje w całej pełni, coraz miększy i połyskliwszy, nadający się do drapowania jak żaden inny materjał. Jest w czem wybierać i jest o czem marzyć.

Lady Like.





Powyżej od lewej: Dyskretne przybranie z bobra lub wydry nadaje płaszczowi charakter jesienny. Skromna suknia popołudniowa z czarnego rypsu, przybrana dwubarwnym sznurem.



Komplet popołudniowy z czarnej wełnianej koronki.



Poniżej: Kapelusze o dużych fantazyjnych rondach są charakterystyczne dla obecnej mody.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

KOTLECIKI Z SZYNKI „A LA PAYSAN". Z 15 dkg mąki, 2 jaj, około 1/8 litra mleka pół na pół z wodą, łyżki octu i łyżki oliwy, oraz szczypty soli, ubija się lane ciasto trochę gęściejsze niż na naleśniki. W cieście tem macza się grubsze płatki szynki i szybko osmaża na rozpalonym tłuszczu. Kotleciki te muszą być zaraz po usmażeniu podane, inaczej zwilgotnieją i tracą swą kruchość. Podane być mogą z zieloną sałatą, ostrą jarzynową sałatą lub z szpinakiem.

KALAFJOR NA RYŻU. 15 dkg ryżu ugotować na gęsto, wymieszać z dwoma jajami i ułożyć w masłem natartej rynce jako spód potrawy. Na wierzch kładzie się kalafior ugotowany w słonej wodzie i dobrze z niej osączony. 10 dkg szynki siekanej miesza się z dwoma twardemi jajami również posiekanemi i posypuje kalafjor; na wierzch sypie się tartą bułkę zmieszaną z łyżką parmezanu i polewa masłem poczem zapieka potrawę przez 25 minut w gorącym piecu. Podaje się z sosem holenderskim lub z bardziej nowoczesnym surowym sosem pomidorowym, sporządzonym w następujący sposób: 25 dkg dojrzałych pomidorów przeciera się na surowo przez sito, dodaje soli, cukru i pieprzu po szczypcie, poczem ubija się sos spiralką od piany lub kołowrotkiem od ubijania śmietany, tak długo, aż sos się zapieni.

„GIGOT" BARANIE PO BRETOŃSKU. Oczyszczoną z zbytniego tłuszczu piętkę baranią naciera się solą z gałką muszkatułową, wkłada do woreczka płóciennego lub serwety, dodaje pęczek rozmarynu i zielonej pietruszki, zawija ciasno, zaszywa lub zawiązuje ciasno w woreczku i wkłada na wrzącą osoloną wodę do dużego garnka. Mięso winno się powoli gotować przez 1½—2 godzin. Po ugotowaniu i przestudzeniu wyjmuje się gigot z płótna na półmisek, kraje w plastry i okłada włoską kapustą ugotowaną, posiekaną następnie i zaprawioną na gęsto zasmażką i kwaśną śmietaną. Również fasolka zielona przyprawiona w podobny sposób nadaje się tu jako dodatek.

SZPINAK przyrządzać można w odmienny niż zazwyczaj u nas stosowany sposób, a mianowicie: młody szpinak przebrany, pozbawiony szypułek, płucze się pod bieżącą z kranu wodą, następnie osącza na sicie. W rynce, rozpuszcza się łyżkę świeżego masła i wkłada osączone z wody liście szpinaku zmieszane z masłem i dusi następnie pod przykrywą na wolnym ogniu przez 20 minut. Wydaje się szpinak do mięsa lub sadzonych jaj. Bez żadnych dalszych przypraw prócz oczywiście soli i kto lubi odrobiny roztartego czosnku.

POMIDORY SMAŻONE. Dla amatorów pomidorów jeszcze jeden sposób przyprawy. Duże **twarde** pomidory kraje się w poprzek na plastry dość grube, macza je w mące, potem w rozkłuconem jajku, następnie w tartej bułce i osmaża szybko na rozpalonem maśle zmieszanem z oliwą (specjalna do smażenia oliwa sojowa). Kotleciki pomidorowe podaje się z smażonemi ziemniaczkami lub z ryżem.

SZCZUPAK Z RUSZTU. Szczupaka oczyszczonego i dobrze wymytego wewnątrz, nakrawa się od strony grzbietu i wyjmuje kość grzbietową wraz z ośćmi pomagając sobie przy tej czynności ostrym nożem. Następnie kraje się rybę w dzwonka około dwu centymetrowej grubości, nasala je i odstawia na parę godzin. Tuż przed użyciem osusza się pojedyncze dzwonka czystą ściereczką lub bibułą, macza w oliwie lub topionem maśle, osypuje mąką zmieszaną z bułeczką, układa na ruszcie i piecze w niezbyt gorącym piecyku gazowym z odpowiedniem urządzeniem. W razie braku tegoż smaży się kawałki ryby w brytwance pływające w rozpalonem maśle. Do ryby podaje się **zielony sos musztardowy**: 8 dkg masła i tyleż mąki smaży się na jasnożółty kolor, zalewa **zimnym rosołem**, ugotowanym z głowy, ości i innych odpadków ryby, zagotowuje na gładko, wzgl. przeciera przez sito, dodaje łyżkę mocnej musztardy oraz łyżkę siekanej zielonej pietruszki, kontroluje smak ewent. dodaje szczyptę cukru lub soli oraz łyżeczkę soku cytrynowego.

FLAMMERKI OWOCOWE Szklankę jakiegokolwiek soku owocowego i pół szklanki wody, zagotowuje się; osobno rozrabia się pełną łyżkę mączki kukurydzianej lub ziemniaczanej z troszką wody. zalewa gotującym się sokiem i gotuje przez 4 minuty przy pilnem mieszaniu. Na szklaną miseczkę, wypłukaną zimną wodą, kładzie się pokrajane owoce surowe lub duszone z cukrem, zalewa ugotowanem flammeri i zastudza. Słodzoną śmietankę surową podaje się osobno.

OGÓRKI Z GORCZYCĄ. Duże już żółte nasienne ogórki obupuje się, przekrawa i oczyszcza z ziarn i włókien, następnie nasala się je i zostawia nakryte przez 24 godzin, poczem się je wykłada na serwetę i dokładnie osusza i wyciera. Tak przygotowane układa się ogórki w słoju przesypując je ziarnkami białej gorczycy, oraz czerwoną papryką krajaną w wąskie paseczki. Ocet winny gotuje się z łyżeczką cukru i soli oraz kawałkiem chrzanu i wystudzonym zalewa ogórki.

Sc. Ko.

NOWOŚCI
GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Reorganizacja zakresu obowiązków pań domu zależy obecnie w znacznej mierze od elektryfikacji gospodarstwa domowego, zwłaszcza w dziedzinie funkcyj kucharskich. Na ilustracji widzimy elektryczny nagrzewacz do przypiekania jaj na talerzu, które pod działaniem ciepła zamieniają się w sadzone, oraz elektryczną kuchenkę do przypiekania grzanek z chleba lub bułki.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 39	**Wrzesień** — 30 dni
NIEDZIELA **19** Januarego	Zupa z drobiu. Kalafior na ryżu. Polędwica wołowa po angielsku z jarzynkami. Kompot mieszany. Biszkopt z kremem kawowym. Kolacja: Mieszana wędlina z sosem remuladowym.
PONIEDZ. **20** Eustachego	Rosół z ryżem wątrobianym. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Zrazy cielęce naturalne z marchewką. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Kotleciki z szynki z sałatą.
WTOREK **21** Mateusza	Barszcz zabielany z twardem jajem. Bakłażany smażone z ziemniaczkami. Pieczeń barania z zieloną fasolką na kwaśno. Kompot z jabłek i gruszek. Kolacja: Szpinak z sadzonemi jajami.
ŚRODA **22** Maurycego	Zupa jarzynowa przecierana z grzankami. Omlet z mięsem rosołowem. Pieczeń zajęcza w śmietanie z kluseczkami. Placek kruchy z owocami. Kolacja: Pasztet z zająca na ciepło.
CZWARTEK **23** Tekli	Pomidorówka z ryżem. Omlet z grzybkami. Pieczeń cielęca zawijana, duszona w jarzynach. Flammeri malinowe. Kolacja: Rydze smażone.
PIĄTEK **24** Gerarda	Zupa jabłeczna z grzankami. Pierożki ruskie z śmietaną. Szczupak z rusztu z kromkietkami z ziemniaków. Knedelki z parzonego ciasta z śliwkami. Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.
SOBOTA **25** Władysława z G.	Rosół "consommé". Włoska kapusta smażona w cieście. Pieczeń lub kotlety sarnie z makaronem. Strudel z jabłkami. Kolacja: Kalafior z masłem.

Dokończenie ze str. 5-tej

Niezliczone ilości rąk budują dzisiaj Polskę skrzydlatą. Budują ją dzieci po szkołach, sklejając modele latające, buduje ją młodzież, jarzmiąc prądy powietrzne na szybowcach, buduje ją armja w mundurach i armja cywilna pilotów i mechaników. Oby ta skrzydlata Polska była tak silna, by nigdy aeroplan polski nie musiał zamienić się w siejącą śmierć bestję apokaliptyczną...

* * *

Po chmurnem niebie jesieni nad Krakowem przebiegł błysk słońca. Leniwe chmury trwają na niebie. W pokoju miło i zacisznie — wśród lalek, misiów i kotków pluszowych siedzi małe stworzonko jak duszek zabawek. Lecz nagle patrzy ku oknu, zrywa się, potyka na dywanie, odrzuca lalkę i biegnie do białych kwadratów szyb. Wspina się na paluszki, patrzy w górę:

— Oplan! oplan! — woła radosnym, podniesionym głosikiem.

A potem zwraca się do mnie i zapytuje:

— Widziałeś oplana, tatuniu? widziałeś?

Wróć do lalek, do misia, do pluszowych kotków, dziecinko... Chciałbym kiedyś powiedzieć ci, gdy już lepiej wymówisz to słowo, że aeroplanów mamy tak dużo i nasza armja skrzydlata jest tak silna — że możesz spokojnie bawić się laleczką...

Witold Zechenter.

Dokończenie ze str. 10-tej

Przedzierając się przez stary las, w godzinę znalazł znowu zagubiony wczoraj szlak.

W kilka godzin później ukończył ostatni etap swej wycieczki.

W pociągu rozłożył zakupioną na dworcu gazetę i począł śledzić bieg ostatnich wydarzeń na świecie, od których oderwała go na dłuższy czas wycieczka w góry.

— „Japonja garbuje Chińczykom skórę na safian". „Znowu tajemnicza łódź podwodna nie pozwala Anglikom spokojnie palić fajki" — kpił wesoło z napuszonych artykułów gazety.

Wtem wzrok zatrzymał się na krótkiej notatce:

„Nieszczęśliwy wypadek w górach".

„W dniu wczorajszym znaleziono pod Doboszanką zwłoki samotnego turysty. Z sytuacji na miejscu wynika, że turysta ów spadłszy ze ścieżki, uderzył głową w pień drzewa i zginął na miejscu. Zwłoki znajdowały się w częściowym rozkładzie, co świadczy, iż leżały w tem miejscu od kilku dni. Na podstawie wpisu w schronisku ustalono, że w góry udał się ostatnio samotnie inż. Adam Szegda z Krakowa. Zwłoki agnoskowano po ubiorze i pierścieniu z rubinem na palcu. Zmarły pozostawił żonę i dziecko. Śp. inż. Adam Szegda wyszedł przed dwoma tygodnami z Worochty".

Andrzej począł gwałtownie kojarzyć oszalałe myśli:

— Przed dwoma tygodniami z Worochty... pierścień z rubinem... zwłoki leżały od kilku dni.... a więc dzisiejsze nocne spotkanie? Zwłoki jednak znaleziono pod Doboszanką, skądże więc tu pod Popadją... tyle kilometrów na zachód?...

I w tej chwili wspomnienie ostatniej nocy przyniosło słowa ciche, jak poszum drzew, pełne niewysłowionego smutku:

— „Idę szczytami gór na zachód... jeszcze daleka droga przede mną....".

Tak to Adam Szegda wracał na zachód ku swoim... .

Może w ciche, gwiezdne noce słyszał na szczytach gór daleki hejnał z wieży Marjackiej i szedł za jego głosem... na zachód.

HOCKI-KLOCKI

W BRYGADZIE MIĘDZYNARODOWEJ.



— Zawsze mówiłem, że esperanto ma przyszłość...

Rys. Charlie

Rozwiązania z Nru 37-go.

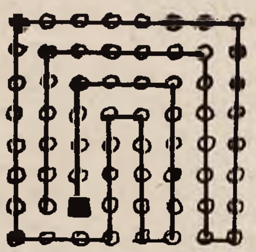
EGZAMIN.

Basia otrzymała z francuskiego 1.

URODZINY.

Ania urodziła się 31 marca, Bolek 15 kwietnia, Klara 9 maja, a Dorotka 1 czerwca.

WĘDRÓWKA PIELGRZYMA.



Rozwiązanie wskazuje rysunek.

Z DUCHEM CZASU.

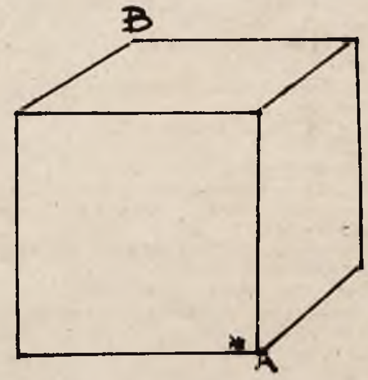


Najazd powietrzny wierzycieli.

Rys. M. Piotrowski, Warszawa

ROZRYWKI UMYSŁOWE

MUCHA I SZEŚCIAN.



Mucha, znajdująca się w punkcie A sześcianu, obejdzie krawędź jego podstawy w ciągu 4 minut. Proponujemy czytelnikom zgadnąć, ile czasu zajmie musze przejście z punktu A do punktu B?

NAD MORZEM.

Rodzina pana Wróbla przyjechała do Gdyni. Każdy chciał pierwszy wykąpać się w morzu. Naprzód równym krokiem poszedł do kąpieli sam pan Wróbel, a w 3 minuty później wybiegli za ojcem Janek i Ela. Janek szedł z szybkością 4 km na godzinę, jednak skręcił w złym kierunku, tak, że ostatecznie stracił 1/4 km. Ela szła o połowę wolniej niż ojciec, jednak straciła 3 minuty na podziwianiu kapeluszy w oknie wystawowem.

Wszyscy troje przybyli nad morze w to samo miejsce o tej samej godzinie. Jak daleko znajdowało się od domu miejsce nad morzem, w którem spotkała się rodzina?

OSIEM CYFR.

Posługując się ośmioma cyframi: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 8 (i tylko niemi) i pomagając sobie znakami dodawania i odejmowania, należy otrzymać setkę.

To warto poznać..

NA SCENIE.

WARSZAWA. Teatr Nowy otworzył sezon utworem francuskiego autora, Denys Amiela pt. **„Trzy asy i jedna dama“.** Recenzenci przyjęli tę sztukę bardzo krytycznie, wytykając autorowi schematyczność pomysłu i niesmaczny sposób ujmowania oryginalnego flirtu jednej kobiety z trzema „asami“. Te „asy“, to trzej bracia: finansista, kompozytor i atleta. Finansista rozmawia z Colettą Dalier o giełdzie, kompozytor o muzyce, atleta o... muskułach. Zwyciężają w tym turnieju **mięśnie.** Coletta wybiera dobrze zbudowanego atletę. Sztuka Amiela była pierwszą próbą Antoniego Cwojdzińskiego, głośnego autora „Freuda teorji snów“, jako reżysera. Zdaniem Grzymały Siedleckiego, egzamin reżyserski wypadł dobrze. Główne role przypadły pp.: Lindorfównie, Geliównie, Wyrzykowskiemu, Krzemińskiemu i Śliwińskiemu.

W teatrze Małym przypomniano pierwszy utwór sceniczny Shawa p. t. **„Szczygli zaułek“.** Jest to prostoduszny obraz wyzysku kamieniczników, żerujących na ubogiej ludności. Autor jaskrawo porozdzielał tu światła i cienie, szkicując ponure typy kapitalistów. Na temat wykonania aktorskiego głosy są naogół podzielone. Niektórzy zarzucają reżyserowi i aktorom przejaskrawienie tonu. Zwłaszcza dotyczy to Niny Andryczówny, która gra rolę młodego „wampa“. Andryczówna stworzyła już nie wampa, lecz wampira. Ale jeżeli taka była koncepcja reżyserska p. Wiercińskiego! W każdym razie umiała być zajmująca. Inn wykonawcy: Samborski, Kreczmar, Kondrat, Grolicki.

Cyrulik warszawski otworzył sezon operetką Benatzky'ego-Hemara p. t. **„Jaś u raju bram“**, w reżyserji Jarossy'ego. Jednakowoż Hemar nie wysilił się na mocniejsze okraszenie dowcipem, a muzyka nie przynosi melodyj, utrwalających się dłużej w pamięci. Głównymi wykonawcami są: Ordonówna w roli gwiazdy filmowej, Krukowski, który stworzył postać naładowaną komizmem, dopomagali mu w tym nastroju Lawiński i Sempoliński. Wyróżniła się miła, jak zwykle Grossówna.

BYDGOSZCZ. „Małżeństwo“ węgierskiego autora Jana Vaszary'ego, choć nie daje zbyt głębokiego przekroju zagadnienia, pozwala aktorom na „wygranie się“. Sceny zbiorowe są pełne ruchu. Reżyser Korecki wyzyskał umiejętnie świeżo wprowadzoną w teatrze bydgoskim scenę obrotową, stwarzając typ widowiska filmowego. Z pośród wykonawców należy wymienić: Wład. Stomę, Halinę Dorée, M. Arczyńska.

ŁÓDŹ. Teatr Polski zademonstrował **„Wieczór trzech króli“** Szekspira w reżyserji Bronisława Dąbrowskiego, w oprawie dekoracyjnej K. Mackiewicza. Wykonanie aktorskie nierówne. Trzeba jednak wyróżnić korzystnie: pp. Ludwiżankę (Vivia), Snaya (Orsini), Dejunowicza (Malvolio), Wilińską (Marja).

TORUŃ. W teatrze Ziemi Pomorskiej występuje od kilku tygodni Junosza Stępowski. Korzystając z gościny znakomitego artysty wystawiono **„Cara Pawła“** Dymitra Mereżkowskiego.

LWÓW. Teatr Wielki wystawił amerykańską historję o średniowiecznym poecie francuskim, Villonie, graną w ub. sezonie w Warszawie p. t. **„Król włóczęgów“.** Napisali ją B. Hooker i W. Post, muzykę opracował Frimmel. W roli tytułowej wystąpił Eugenjusz Solarski, zyskując uznanie publiczności. W innych rolach: J. Brochwiczówna (Katarzyna), K. Tiche (cyganka), Skonieczny (groteskowy dworzanin), Borowy i Machalska.

J. J.

WYSTAWA AKWARJÓW

Jak wszelka nieszablonowa i dobrze pomyślana impreza w życiu kulturalnem stolicy jest zjawiskiem potrzebnem i pożytecznem, świadczy o tem Wystawa Akwarjów i Terrarjów w szklarni Ogrodu Saskiego, ciesząca się stale wzrastającą frekwencją, szczególnie wśród młodzieży szkolnej.

Wystawa w zupełności na powodzenie to zasługuje, bowiem jest naprawdę piękna. Ładnie oświetlone akwarja w specjalnym tunelu oraz zgórą 200 zbiorników, rozmieszczonych na terenie wystawy zawierają ten cichy a bajecznie barwny i przeroznaity kształtami świat podwodny ryb, żyjątek i roślin egzotycznych i krajowych. Bardzo ciekawy jest dział eksponatów Państwowego Muzeum Zoologicznego, reprezentujący liczną faunę polskiego morza oraz gady i płazy krajowe. Piękne są akwarja Stacji Morskiej na Helu, zawierające żywą florę i faunę Bałtyku oraz bardzo wiele innych, nie mniej ciekawych okazów.

Kto nie zdążył jeszcze zobaczyć tych cudów przyrody, temu radzimy to uczynić.

Wystawa jest otwarta od godz. 9-tej rano do 21-szej wieczorem.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 19 września.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kośc. św. Krzyża w Warszawie. Po nabożeństwie koncert popularny z płyt.
11.00 Koncert orkiestry K. Dakowskiego i Adama Furmańskiego.
12.03 Idzie jesień... koncert w wyk. Ork. Symf.
13.00 Melodje operetkowe w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Jan Sibelius — płyty.
17.00 Podwieczorek z Wystawy Radjowej w Wilnie.
18.00 Teatr Wyobraźni „Dwóch nieśmiałych“ — wodewil.
20.00 Koncert europejski ze Szwajcarji, transm. z Zurychu i Lozanny.
21.20 „Kilka słów“ — groteska (z Krakowa).
22.10 Recital fortepianowy Artura Hermelina.

Poniedziałek, 20 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół
11.40 Ludwik van Beethoven, Sonata e-moll op. 90 (płyty).
12.15 Dbajmy o rozwój naszych dzieci, pogadanka dla gosp. wiejsk.
12.25 Gra orkiestra dęta (płyty).
12.40 Od warsztatu do warsztatu — Tapicerzy.
16.00 Bajki skandynawskie — aud. słowno-muzyczna dla dzieci.
16.20 Koncert ork. Filharm. Warsz. transm. z Ciechocinka.
16.50 O kulturze gości i kulturze gospodarzy — feljeton.
17.05 Muzyka taneczna w wykon. Małej Orkiestry P. R.
18.15 Lucienne Boyer i Tino Rossi śpiewają (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
20.00 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
21.00 Walczyk i piosenka — w wyk. Krakowsk. Kwartetu Schrammla z udziałem solisty (z Krakowa).
21.45 Kwadrans poezji — wiersze Kornela Ujejskiego (ze Lwowa)
22.00 Recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej.
22.30 Recital śpiewaczy Franciszki Plattówny (ze Lwowa).

Wtorek, 21 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół — „Ostatnie ognisko“.
11.40 Aleksander Glazunow — fragm. ze scen baletowych op 52
12.25 Marsze polskie i obce w wyk. orkiestry wojskowej.
16.00 „Kim jest twój tatuś? — maszynistą kolejowym“ — transm. z dworca kolejowego w Wilnie
16.20 Utwory fortepianowe na 4 ręce Maurycego Moszkowskiego
16.45 Ziemia pełna historji i soli — feljeton z Łodzi.
17.00 Transmisja z wystawy radjowej w Wilnie.
18.00 Muzyka lekka z płyt.
19.00 „Uczciwość“ — skecz
19.15 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga.
20.00 „Sissy“ — operetka w 3-ch aktach.
22.00 „O Biskupinie w 15 językach świata“ — audycja z Poznania.
22.25 Koncert solistów.

Środa, 22 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Gra Mischa Elman — skrzypce (płyty).
12.15 Feljeton prawno-społeczny.
12.25 Koncert Ork. Filharm. Warsz.
16.00 „Z mojego warsztatu“ — szkic literacki.
16.15 Pieśni górnośląskie w wyk. chóru męskiego „Echo“ (z Katowic).
16.45 Wydarzenia morskie w Hiszpanji — odczyt.
17.00 Stan Golestan: Kwartet As-Dur (z r. 1923) — I wykonanie.
17.30 Piosenki w wyk. zespołu wokalnego „Te 4“
17.50 Samochód i jego silnik — pogadanka.
18.00 Chwila Biura Studjów.
18.15 Melodje filmowe (płyty)
19.00 Słynni dyrygenci — XXII audycja — Filip Gaubert (płyty).
20.00 „Opowieść króla cyganów“ — aud. muzyczno-słowna.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. St. Szpinalskiego.
21.45 „Rodzice i dzieci“ — obrazek Wandy Melcer.
22.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

Czwartek, 23 września.

8.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół. — Najpiękniejsze melodje Moniuszki.
11.40 Fragmenty z op. „Jaś i Małgosia“ — Englebert Humperdinck
12.15 Koniec konkursów, pogadanka dla młodzieży wiejskiej.
12.25 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi)
16.00 „Spotkanie“ — opowiadanie Benedykta Hertza dla dzieci.
16.15 Muzyka salonowa w wyk. Tria Rozgł. Poznańskiej.
16.45 Radjo w szkole — feljeton.
17.00 Koncert solistów.
18.15 Z operetek Jana Straussa (płyty).
19.00 Teatr Wyobraźni: Słuchowisko pt. „Mężczyzna w damskim kapeluszu“.
20.00 Koncert muzyki lekkiej.
21.05 Muzyka taneczna.
21.45 „Rodzice i dzieci“ — obrazek Wandy Melcer.
22.00 Muzyka niemiecka — koncert wokalny.

Piątek, 24 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół „W pustyni i w puszczy“ — H. Sienkiewicza.
11.40 Kamil Saint-Saens: Septet op. 65 (płyty).
12.25 Koncert Ork. Wojsk. z Poznania).
16.00 Rozmowa z chorymi ks. M. Rękasa (ze Lwowa).
16.15 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego.
16.45 Na statku emigranckim — reportaż.
17.00 Koncert Ork. Filharm. Warsz
17.50 Wpływ człowieka na klimat ziemi — pogadanka.
18.15 Przeboje Irwinga Berlina (płyty).
19.00 Koncert z Wystawy Radjowej w Wilnie.
20.00 Muzyka lekka i taneczna.
21.45 Rodzice i dzieci — obrazek Wandy Melcer.
22.00 Koncert wieczorny.

Sobota, 25 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół — „Śpiewajmy piosenki“.
11.40 Edward German — Suita cygańska.
12.15 Orkiestra mandolinistów „Sempre-Vivo“.
16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci — „Baśń o tysiaconogim“ — słuchow.
16.30 Z naszych pieśni — wyk. Ada Witowska-Kamińska.
16.50 Obrazki włoskie (z Krakowa).
17.50 W borach Cisny — pogadanka.
18.15 Wiązanka melodji Roberta Stolza (płyty).
19.00 Muzyka ludowa w wyk. ork. W. Krajowskiego i chóru „Zjednoczenie“.
20.00 Audycja dla Polaków zagranicą „Polska jesień“.
21.05 Przedwojennej walce salonowe i piosenki.
21.45 Nowości literackie.
22.00 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.